MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 14 WARSZAWA, 4 KWIETNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWA SYTUACJA ŚLĄSKA

DNIA 15 lipca wygasa zawarta pod dyktandem zwycięskich mocarstw konwencja polsko-niemiecka, zwana powszechnie konwencją genewską. W dniu tym Polska uzyskuje wreszcie wolne ręce na Śląsku. Są wprawdzie zabiegi niemieckie, proponujące Polsce utrzymanie konwencji tej w nieco zmienionej formie i nadal, ale nie ma w Polsce bodaj ani jednego zwolennika prolongaty polsko-niemieckiego *condominium* na polskiej części Śląska — do tego bowiem sprowadzała się praktyczna wartość konwencji.

Przed Polską staje nowe poważne zagadnienie: jak dalej administrować Śląskiem? Jakie granice nakreślić województwu śląskiemu? Jak daleko należy zunifikować ustawodawstwo śląskie z ustawodawstwem reszty Polski?

Formalnie śląska autonomia opiera się na ustawodawstwie polskiem, na konstytucji śląskiej, uchwalonej przez Sejm ustawodawczy polski. Podobnie było i na Śląsku, przyznanym Niemcom. Tam jednak autonomia Śląska nie doczekała nawet *regime*'u narodowo-socjalistycznego, który połamał odrębności dzielnicowe Rzeszy radykalnie i bezceremonialnie. Autonomia Śląska polskiego doznała poważnego uszczerbku dopiero w r. 1935 przy uchwalaniu nowej kwietniowej Konstytucji polskiej i nowej ordynacji wyborczej, ale mimo to dotąd zachowała potężny jeszcze walor. Do dnia 15 lipca 1937 musiało w wielu dziedzinach istnieć odrębne ustawodawstwo, musiały działać różne specjalne instytycje i urządzenia. To przymusowe położenie, mające swe źródło w 631 artykułach konwencji genewskiej, wstrzymywało od ataków na autonomię Śląska nawet tych, którzy byli zasadniczymi jej przeciwnikami. Obecnie decydujące w Polsce czynniki mają wolną drogę do zmian. Nie sprzeciwią się żadnym eksperymentom unifikacyjnym ani obecny, zreformowany Sejm śląski, ani jego emanacja, Rada Wojewódzka. W obydwu zasiadają wyłącznie ludzie rządzącego obozu.

Jak budować administrację nietylko Śląska, ale i całej Polski, centralistycznie czy decentralistycznie przez rozbudowę samorządu dzielnicowego czy wojewódzkiego? Pytanie to nie od dziś zajmuje umysły polskie.

Nie mam zamiaru omawiać dzisiaj szczegółowo tego zagadnienia. Wystarczy, gdy stwierdzę ogólne tendencje niektórych grup politycznych i narodowościowych. Mniejszości słowiańskie żądają szerokiej autonomii terytorialnej, żydzi autonomii kulturalno-wyznaniowej, Niemcy interesują się tylko autonomią własną. Wśród Polaków — socjaliści popierają żądania autonomiczne i ukraińsko-białoruskie i żydowskie. Narodowcy polscy przeciwni są dalej idącym tendencjom separatystycznym, a szeroki zakres samorządu przyznać są gotowi tylko najniższym stopniom samorządu terytorialnego. Przeciwnikiem szerokiej autonomii ziem i dzielnic okazuje się również — po różnych zygzakach—i sanacja. Mimo zapowiedzi—nie zorganizowała ona samorządu wojewódzkiego przy sposobności częściowej zmiany ustaw samorządowych w r. 1933, a autonomię Śląska mocno poderwała.

Na szczęście — doktryn federacyjnych, pielęgnowanych przez czas dłuższy z wielką szkodą

dla Polski na szerszym terenie, sanacja nie zastosowała do wewnętrznej organizacji państwa.

Oczekiwać zatem należy unifikacji ustawodawstwa Śląska z ustawodawstwem reszty Polski wszędzie tam, gdzie specjalne odrębne interesy Śląska nie staną im na przeszkodzie. Nie sądzę jednak, aby unifikacja ustaw naruszyła pewną odrębność administracyjną, oraz samorząd gospodarczy i szkolny Śląska, aby zniesiono Sejm śląski, aby Śląsk pozbawiono dotychczasowych źródeł dochodowych. Byłoby to spychaniem tej części Polski w dół, a ten proces nikomu do szczęścia nie jest potrzebny. Unifikacja jednak w tych dziedzinach, w których zrobiona być musi, winna być dokonana szybko, jeśli województwo śląskie ma wchłonąć gładko sąsiadujące z nim powiaty przemysłowe Małopolski i Kongresówki. Przy odmiennem ustawodawstwie w zbyt wielu dziedzinach w Małopolsce i w Kongresówce, a także i na Śląsku cieszyńskim i Górnym aparat województwa śląskiego nie mógłby działać sprawnie. I administracja i ustrój władz i ustawodawstwo w całem powiększonem województwie muszą być ujednostajnione, a stać się to może głównie przez rozszerzenie i na teren Śląska wielu ustaw ogólnopolskich.

Treścią autonomii Śląska winien być samodzielny zarząd wielu sprawami województwa śląskiego, a nie odmienne ustawodawstwo. Tylko w stosunkowo niewielu punktach ustawodawstwo śląskie może się różnić od ustaw reszty Polski.

Słyszymy z wszystkich stron zapewnienia, że projekt rozszerzenia granic województwa śląskiego jest już gotowy, że ma być wprowadzony w życie jeszcze w r. 1937. Uchodzi za pewne zniesienie województwa kieleckiego, które straci powiaty południowe i zachodnie na rzecz województwa śląskiego i krakowskiego, a inne na rzecz województwa łódzkiego, warszawskiego i lubelskiego. Uważa się za przesądzone przyłączenie paru powiatów małopolskich i zagłębia węglowego dąbrowskiego do Śląska. Rząd oczekuje już tylko wygaśnięcia Konwencji genewskiej, aby przygotowane z góry plany szybko wprowadzić w życie.

Należy zdać sobie sprawę z tych zamiarów i z konsekwencji ich zrealizowania.

Ludność Śląska według spisu z r. 1931 liczy 1,295,027 mieszkańców. Niemców było 90,545 (=70%), Żydów 18,938 (=1,5%).

Przyłączone być mają do woj. śląskiego: z Kongresówki powiaty częstochowski, zawierciański i będziński, a może i olkuski, oraz miasta, na tym terenie położone, w szczególności Sosnowiec i Dąbrowa Górnicza. Daje to według spisu ludności z r. 1931 — 770,987 mieszkańców bez Olkusza, a z Olkuszem 922,716. Pośród tej ludności poważny procent stanowią żydzi. Jest ich bez Olkusza 95,730, a z Olkuszem 106,964.

Z Małopolski odejść mają do woj. śląskiego powiaty: chrzanowski, bialski (z włączonym do niego oświęcimskim), a może i żywiecki; bez Żywca powiaty te liczą 277,148 mieszkańców, w tem 20,078 żydów, a z Żywcem 386,995 mieszkańców, w tem 23,982 żydów.

Po połączeniu tych trzech ośrodków w jedno województwo śląskie mieć ono będzie — bez Żywca i Olkusza — 2,343,162 mieszkańców, w tem około 100,000 Niemców (=4,5%) i 136,746 Żydów (=5,8%), a z Żywcem i Olkuszem 2,604,738 mieszkańców, w tem 100,000 Niemców i 149,884 Żydów.

Tak mówią suche cyfry statystyczne. W powiększonym województwie śląskiem Polacy stanowić będą około 90% ludności. Ta olbrzymia przewaga żywiołu polskiego powinnaby nas uspokoić. Ale cyfry nie zawsze oddają wiernie istotną treść życia.

Przemysł na terenie rozszerzonego województwa śląskiego należy do obcych, głównie do Niemców i Żydów. Kapitał polski (polskiego rządu i Polaków) jest w skromnej mniejszości. Ośrodki przemysłowe w zagłębiu dąbrowskim a częściowo i małopolskim, opanowane są przez agitację komunistyczną. Znaczne nasilenie bezrobocia ułatwia wywrotową robotę komunistom, żydom, Niemcom. Niedawno zakończone procesy o spiski narodowosocjalistyczne na Śląsku świadczą o agitacji, mającej swe źródło zagranicą. Miasta zwłaszcza są siedzibą Niemców i Żydów. Choć dziś skłóceni a przez to mniej groźni, wywierają oni, każdy na swym odcinku, wpływ potężny na zależne od nich masy. To wszystko trzeba wziąć pod uwagę.

Byłoby objawem słabości, gdybyśmy się cofnęli przed walką z wszystkimi wrogami: niemczyzną, żydostwem i komunizmem, ale właśnie dlatego, że wrogów jest dużo, że mają oni przewagę materialną, że opierają się na siłach międzynarodowych, trzeba dać województwu warunki moralne i materialne, potrzebne dla zwycięskiej walki.

Kto wie, czego chce, kto ma środki i władzę w ręku, a za sobą poparcie zorganizowanego narodu, ten nie ma powodu do wahań i obaw: musi zwyciężyć! Polska zaś chcieć może tylko jednego: najściślejszego duchowego zjednoczenia Śląska z Polską, usunięcia śladów germanizacji i niewoli, jego wszechstronnego rozwoju. Ten cel musi być osiągnięty.

STANISŁAW RYMAR

CYWILIZACJA BIZANTYŃSKA

(ODCZYT WYGŁOSZONY W WARSZAWIE W DOMU KATOLICKIM 11 LUTEGO 1937 R.)

II

CAŁA cywilizacja hellenistyczna nie wydała ani jednego czynu powszechnie dziejowego, gdyż była pozbawiona kultury czynu.

Tym przymiotem któż celował ponad Rzym republikański? Cały ten okres dziejów rzymskich stanowi jedno nieprzerwane pasmo jaknajwiększej zdatności do czynów. Bo też był to najwspanialszy organizm całej historii starożytnej.

Organizm ten zetknął się z hellenistycznym mechanizmem. Zaimponowały bogactwa Wschodu, ogłada, dekoratywność życia, a nadto wyłoniło się u Rzymian względem jednej krainy Wschodu poważne *pretium affectionis*. Chodziło o Troię. Nie Wergiliusz dopiero wymyślił trojańskie pochodzenie Rzymian (od Anchizesa i Eneasza), bo spopularyzowane to było jeszcze w II w. przed Chr. (poeta Ennius 239 — 170). Fikcja ta miała poważne następstwa. Patriota rzymski czcił wspomnienie Troi jako kolebki swego narodu, a trojańska góra Ida była dla niego górą świętą. Tam zaś rezydowała bogini Cybela, *Mater deorum, magna Idaea* — a gdy księgi sybillińskie podczas wojny hannibalowej orzekły, że wróg nie opuści Italii, póki bogini Idańska nie przybędzie do Rzymu, wysłano flotyllę bogato uzbrojoną do króla Pergamenu po święty kamień, symbol Cybeli. Mamy tu do czynienia z przykładem owego synkretyzmu religijnego. Jak Serapisa z Zeusem, podobnież mieszano umyślnie innych bogów helleńskich z perskimi i syryjskimi. Cybela uchodziła tedy za Afrodytę, ową szczególną opiekunkę Troi, znaną z pieśni Homera, jako kochanka Anchizesa, a matka Eneasza, tego protoplasty założycieli Rzymu. Posyłano tedy po Cybelę, jako po... pramacierz Rzymu. I tak sprowadzono sobie pierwsze bóstwo orientalne. Żałowano tego potem gorzko i odesłano Cybelę z powrotem gdy, zmierzili się jej korybanci; lecz było już po niewczasie i niejedno inne bóstwo orientalne wślizgnęło się tymczasem do Rzymu. Albowiem orientalizacja Rzymu rozpoczęła się od religii, od tej dziedziny zawsze i wszędzie najbardziej publicznej ze wszystkich publicznych.

Za zmienionymi wyobrażeniami religijnemi poszły zmiany w poglądach etycznych. Z orientu nabrali okrucieństwa względem nieprzyjaciela, następnie zaś zapatrywania, że nie musi się nieprzyjacielowi dotrzymać umowy, a można rozprawiać się brutalnie z nim i z jego mieniem. Orientalne metody miano niebawem zastosować w wojnach domowych! Zaczęto się uczyć u Azjatów... moralności politycznej, co konsekwentnie wiodło do nieznanego w dawniejszym Rzymie zapatrywania, jako państwu wszystko się godzi.

Nie wszyscy Rzymianie orientalizowali swój intelekt; nastawał przeto rozłam cywilizacyjny w Rzymie, czego wyrazem stały się wielkie wojny domowe czasu triumwiratów.

Na dnie wszelkich tych pszeciwieństw spoczywały odmienne ustroje psychiczne; po stronie Rzymu świetnie uporządkowany personalizm, a w mieszance hellenistycznej coraz wyłączniejsza gromadność. W tej bowiem fundamentalnej kwestii Grecy zarażali się coraz bardziej od ludów orientalnych, z którymi pragnęli zmierzać ku syntezie. Spotykamy się tu z przejawem czwartego wielkiego prawa dziejów. Jeżeli dwie cywilizacje są równouprawnione, zwycięża zawsze niższa. Tak więc w państwie hellenistycznym brały coraz bardziej górę pierwiastki orientalne, chociaż przebierały się w grecką szatę, zwłaszcza językową. Grecy małoazjatyccy zatracali dawny helleński personalizm. A gdy z pokolenia w pokolenie wojska rzymskie, żołnierze i wodzowie, ulegali coraz więcej wpływom pergameńskim, bityńskim, syryjskim, perskim, począł się wśród ciężkich rzymskich wojen domowych chwiać nawet rzymski personalizm, ten ich personalizm najtwardszy, jaki zna historia. Kropla po kropli drążyła ten kamień. Toteż w okresie, kiedy Rzymianie poczęli kierować sprawami Hellady, byli już nie mało zorientalizowani. Nie trudno nawet dostrzec, że czerpali z hellenistycznej Azji pełną dłonią, znacznie jednak pełniejszą, niż Grecy europejscy.

Już od II w. przed Chr. można powiedzieć o Rzymianach, że nie wszyscy należeli do cywilizacji rzymskiej. Życie potoczne w warstwach zamożniejszych całkiem po wschodniemu urządzone; stare rzymskie prawo familijne we wzgardzie; około połowy II w. bezżenność staje sią czemś pospolitem. Równocześnie wydawano w Rzymie ustawy przeciw zbytkowi, i przeciw kupowaniu i sprzedawaniu głosów na zgromadzeniach ludowych. Zbrakło Rzymowi współmierności między prawem publicznem a prywatnem. Gdy podczas wojen Mariusa i Sulli zlekceważono (kilka razy) zasadę własności prywatnej, gdy próbowano się nawzajem wprost wytępić, gdy unieważniano długi, zwalniano od płacenia czynszów mieszkaniowych, uaśladowano w tem wszystkiem Mitrydatesa, który takiemi właśnie środkami zjednywał sobie masy ludności po miastach greckich. Wodzowie i politycy rzymscy stawali się pojętnymi uczniami Wschodu, podczas gdy nie przeszczepili na Wschód nic rzymskiego.

Koronę wszystkiego stanowiło przyjęcie orientalnej deifikacji panującego. Na monetach rzymskich pojawiła się głowa człowieka żyjącego, głowa Juliusza Cezara. Cezar — następnie Antonius — chcą nadać hegemonię wschodniej połaci państwa, i stolica miała być przeniesiona z Rzymu do Aleksandrii. Oktawian August przeciwnym był tej orientalizacji, lecz musiał się z nią pogodzić w Azji. Stamtąd kusiła ta zasada nadal cesarzy, i poczyna się w samym Rzymie walka Zachodu ze Wschodem.

Na kim jednakże i na czem miały się opierać prądy Zachodu, prądy wynikające z dawnej cywilizacji rzymskiej?

Społeczeństwo rzymskie opierało się było o chłopów, a państwo o wojsko. Było to przez wieki całe jedno i to samo pod dwiema postaciami, bo armia składała się z chłopów rzymskich, a żołnierz zaraz po zawarciu pokoju wracał do swego gospodarstwa. Rzym republikański nie posiadał bowiem armii stałej, lecz zawsze według potrzeby musiał służyć wojskowo każdy, ktokolwiek posiadał ziemię; kto ją chce posiadać musi jej bronić. Były to armie narodowe. Ale na Wschodzie były tylko

wojska zaciężne, a wielu wodzom rzymskim spodobało się to, bo przecież z armią obywatelską nie łatwo było zaprowadzić w Rzymie despocję orientalną!

W czem jednak przyczyna dziwnego faktu, że hellenistyczność grubo zorientalizowana brała górę nad cywilizacją rodzimą rzymską? Widocznie lgnęła do Orientu większośc społeczeństwa t. j. większość sił społecznych. Tak jest, tak było rzeczywiście.

Szalę przeważyli i to z wielką przewagą rzymscy *equites*, t. j. handel i przemysł. Patrycjuszom, następnie senatorom zakazane było zajmować się łokciem i kwartą, tudzież procentami. Jeszcze za Augusta powtórzono ten zakaz. Rody dostarczające państwu konsulów, trybunów, wodzów i dyktatorów, rody bogacące się niezmiernie w służbie wojskowej i cywilnej, (w prowincjach), zmuszone były nabywać latyfundia ziemskie, bo to była jedyna lokata dla ich kapitałów.

Plebs wydawała drobnych rolników, chłopów; wyjątkowe tylko jednostki oddawały się handlowi. Największe źródła bogactw: dostawy wojskowe i dzierżawa podatków, cały też handel międzynarodowy i lokalny, tudzież wszelki przemysł znajdowały się głównie w ręku nierzymian, chociaż formalnie zromanizowanych. Wielki przemysł i wielki handel miały siedzibę i trzon swój na Wschodzie; Italia była pod tym względem tylko filią Wschodu i targiem zbytu, a nieznacznie tylko produkcji.

Wykluczywszy własne kapitały od obrotu w tym ruchu handlu powszechnego, poddali się Rzymianie ekonomicznie Orientowi. *Equites* w drobnej zaledwie części byli rodowitymi Rzymianami, a byli wszystkiem związani ze Wschodem. W całej zaś historii powszechnej wszędzie i zawsze warstwa kupiecka rozstrzyga o kierunku państwa, i tem bardziej, z tem większą stanowczością, im większą ona przedstawiała siłę ekonomiczną. Otóż *equites* posiadali w Rzymie przewagę ekonomiczną druzgocącą — a zezowali ku Wschodowi.

Równocześnie zaś przestawał istnieć stan chłopski, który był fundamentem społeczeństwa rzymskiego. Rolnictwo przestawało się opłacać, bo tańsze zboże przywodziło się z Sycylii, a potem jeszcze z Egiptu. Coraz mniejszą wartość miały dla żołnierzy italskich nadania ziemskie po wysłużonych latach. Nadto nadania gruntów możliwe były coraz dalej od krain latyńskich, a potem już tylko poza Italią i daleko poza morzami, co chłopu italskiemu wcale się nie uśmiechało. Nie warto mu już było służyć wojskowo! To też stopniowo armia rzymska nietylko przestawała być obywatelską, lecz przestawała składać się z obywateli rzymskich.

Za Wespazjana Italików niemal nie było w legionach, do Hadriana zaś legiony uzupełniają się tylko z prowincji, w której stale konsystowały. W okresie późniejszego cesarstwa pojawiają się „legioniści" pochodzący z poza granic imperium — coraz liczniejsi.

Chciano wznowić stan chłopski, pragniono tego szczerze i gorąco, wydano w tym celu najrozmaitsze nakazy i zakazy, nie szczędzono olbrzymich funduszów, ale wszystko na nic! Chłop przestał być żołnierzem, a żołnierz z tych armii nowego systemu nie chciał zostawać rolnikiem, a gdy chciał, nie umiał. Weterani okazywali się coraz lichszym materiałem osadniczym, i osiedla ich były zaniedbane, a najczęściej sprzedawane sąsiedniemu latyfundyście.

W latyfundiach też znajdywali ocalenie od głodu ostatni chłopi i ich potomstwo, o ile nie szli do Rzymu na darmowe zboże i na sprzedawanie swych głosów. Przyjmowali drobne dzierżawy od latyfundystów za czynszem lub za odróbkę na folwarku. Powstawała nowa warstwa społeczna t. zw. colonów. Ale ci nie wytrzymali nacisku fiskusa i przechodzili na służących, na służbę rolną u latyfundysty z t. zw. patrocinium. Równocześnie formowała się warstwa t. zw. inquilinów, powstała z pokonanych barbarzyńców, których osadzano na roli, wiążąc ich z gruntem dziedzicznie a przymusowo. Właściciele ziemscy otrzymywali ich niejako na własność. Gdy ten sposób zapewnienia uprawy gruntów rozpowszechnił się, społeczeństwo rzymskie było coraz bardziej jakby przetykane żywiołem barbarzyńskim.

Im bardziej spadał na dno chłop, tem bardziej wysuwał się na czoło spraw publicznych żołnierz, a właściwie żołdak, nie związany ze społeczeństwem niczem. Od żołdackiej gospodarki powiała powszechna ruina, na której żerowała sobie odrębna kasta żołnierska.

Od Dyoklecjana zaś polityka agrarna rządu uciekała się do przymusu, żeby grunty nie leżały odłogiem i żeby mieć z nich podatki. W końcu przyjęto orientalną metodę, że jednostka przywiązana jest do miejsca urodzenia i zniesiono dla warstw niższych swobodę przesiedlania się. Mimo to przybywało wciąż ziemi leżącej odłogiem. Zbiegano poza granice, pod panowanie barbarzyńców, byle tylko nie mieć do czynienia z fiskusem, z samowolą i z łapówkami.

Tak zmarniało państwo rzymskie; ale bo też owi wodzowie barbarzyńców, którzy burzyli imperium, toć to byli generałowie armii rzymskiej. A w wielu stronach ludność witała najeźdźców, jako wybawicieli od nienawistnej państwowości własnego państwa[1]).

Państwo rzymskie ginęło na złą państwowość, niezgodną z cywilizacją rzymską, a spychane było w przepaść przez nowy w państwie czynnik: biurokrację. Zaczęła się wytwarzać za Augusta, który nie chciał monarchii opierać na armii, obawiał się soldateski, a sądził że urzędnicy państwowi przeciwstawią się jej. Jeszcze bardziej szedł w tym kierunku Hadrjan, bo zerwał z tradycją wymagającą od urzędnika poprzedniej służby wojskowej, wymagając natomiast wykształcenia prawniczego. Ledwie minęły dwa pokolenia, trzeba było biurokrację poddać nowej reformie. Tym razem zaczerpnięto wzorów z Egiptu, gdzie pozostawiono nietknięty dawny system egipski biurokracji, umiejącej zawsze skarb napełnić, — a już o nic innego nie chodziło. Wprowadzano więc egipską metodę państwowości stopniowo od prowincji do prowincji, aż za Galienusa (260—268) objęto nią całe państwo. Ale zaraz następny cesarz Aurelian (270—27) wraca do soldateski i przeprowadza organizację urzędów na sposób wojskowy. Jakie przytem zapanowały porządki, miał doświadczyć sam Aurelian. Gdy chciał poskromić nadużycia popełnione w mennicy, doczekał się, że naczelnika mennicy obwołano cesarzem.

---

[1]) Wyraz „państwowość" oznacza w języku polskim urządzenia państwowe.

Konstanty Wielki ma tę zasługę, że oddzielił władze wojskowe od cywilnych. Urzędników ujęto w ścisłe szczeble hierarchiczne ze stałemi poborami, z rangami i przepisowemi tytułami, obmyślając cały system biurokratyczny do najdrobniejszych szczegółów. Osiągnięto tyle, iż „ludność” cywilna całego imperium zeszła do roli niewolników, istniejących tylko na to, aby oddać swą pracę i produkty nienasyconemu molochowi państwowemu.

Niebawem fiskus sam począł niedomagać, mimo coraz sroższego łupienia skóry z ludności. Urzędników zaczęto opłacać w naturaliach, i same podatki trzeba było ściągać w „naturze”, bo gotówką już nikt nie rozporządzał. Nastały czasy, w których żeglarze musieli przewozić darmo dobro państwowe, piekarze wypiekali bezpłatnie chleb dla wojska i urzędników i t. d., aż wszyscy przez całe życie zajęci byli samemi tylko świadczeniami na rzecz państwa. Społeczeństwu narzucano ustrój kastowy. A wszystko to w imię obronności państwa, która właśnie szwankowała coraz dotkliwiej.

Biurokracja doprowadziła więc do tego, że społeczeństwo pakaleczono, aż w końcu je zmiażdżono i pogrążono w nędzy bez ratunku. Ucierpiał na tem Zachód bardziej od Wschodu, gdyż Zachód był od początku uboższy, a przytem pognębiono jego cywilizację, dawną cywilizację rzymską. Gdy w imperium zapanowała państwowość orientalna, z diwinacją despoty, z uprawnieniem żołdactwa i biurokracji do wszelkiej samowoli, państwowość zwrócona tedy przeciwko społeczeństwu, wschód był mniej lub więcej w swoim żywiole, lecz Italia i zromanizowane prowincje zachodnie znalazły się we wrogich kleszczach.

Italia walczyła o utrzymanie swej rodzimej cywilizacji rzymskiej. Oczywiście, boć stykające się z sobą cywilizacje, póki są żywotne, walczyć z sobą muszą. Ta walka doprowadzała kilka razy do zerwania związków państwowych, ale znowu je nawiązywano, już to ulegając naciskowi silniejszego państwa wschodnio-rzymskiego, jużto potrzebując ztamtąd posiłków orężnych. Jednakowoż uświadamiano sobie coraz dokładniej odrębność pod każdym a każdym względem, zwłaszcza zaś to, co stanowiło dorobek cywilizacji rzymskiej, i co tylko ona jedna posiadała: świadomość narodową. Utrzymała się poprzez wieki, i mimo największych trudności ta świadomość narodowa rzymska w przeciwieństwie do hellenistycznego kosmopolityzmu.

Nadzwyczajna niewspółmierność orientalnej państwowości z cywilizacją rzymską musiała doprowadzić państwo zachodnie do upadku. Runęło więc, gdy tymczasem cesarstwo wschodnie trzymało się... jako tako, bo tam nie było takiego przepastnego rozdźwięku, cywilizacja a państwowość były jednakowego pokroju.

To państwo wschodnie uważało się jednak również za rzymskie, a cesarze wschodni przestrzegali długo tradycyj zaszczytnego dla nich rzymskiego pochodzenia. Język łaciński pozostawał długo językiem dworskim, lata oznaczano wciąż nazwiskami konsulów rzymskich, wtedy nawet, kiedy konsulowie byli już tylko naczelnikami miejskiej policji w mieście Rzymie. Prawa, które miały obowiązywać w obu państwach, kodyfikowano też stale w języku łacińskim. Ale prawa te były rzymskie tylko w zakresie prawa prywatnego, lecz głosiły prawo publiczne grubo zorientalizowane. Zwiększała się coraz bardziej niewspółmierność tych dwuch działów praw, gdy jeden z nich pozostawał zachodnim, drugi zaś do reszty stawał się wschodnim.

Sprawy państwowe cesarstwa wschodnio-rzymskiego toczyły się najzupełniej metodami orientalnemi państw hellenistycznych, które przejmowali żywcem wodzowie i cesarze rzymscy. Dzięki właściwościom dziejów politycznych bizantyńskich, odnosi się wrażenie, że to prosty ciąg dalszy cywilizacji hellenistycznej.

Jest kilka cech wspólnych: deifikacja monarchy, względnie uznanie boskiej genezy władzy najwyższej, a zatem wykluczenie żeby jakakolwiek opozycja mogła być legalną, wola bowiem Boska przejawia się przez cesarza. A zatem cesarz nie potrzebuje się niczem krępować—etyka tedy ograniczona jest do życia prywatnego. Dualizm etyczny, wyhodowany na Wschodzie, pielęgnuje się nadal w Konstantynopolu i nigdy się tam nikomu nie przyśniło, by sprawy państwowe miały być załatwiane z uwzględnieniem moralności. Ale tak samo myślano na dworach olbrzymiej większości cesarzów zachodnich. Było to zupełnie to samo, co my zowiemy wszechwładzą państwa; tylko trzeba mieć na uwadze tę okoliczność, że wszechwładza ta skoncentrowana była na woli jednego człowieka, tego, który zasiadał na tronie.

Jakiem prawem on tron zajmował, o to niepytał nikt w Rzymie od dawien dawna. Gwałtem, przekupstwem, mordem, siłą soldateski? Rozmaicie bywało, a każdy komu się powiodło zostać cesarzem, był nim legalnie — i ta sama zasada przeszła do cesarstwa wschodniego. Legitymizmu nie znało ani jedno cesarstwo, ani drugie. Na dworze bizantyńskim mordują się i trują, kroniki roją się od mordów w rodzinie; występują do zbrodniczych harców mężowie i żony, teściowe i zięciowie, dziewierzowie i t. p. zaraz od wieku V, aż przy końcu VIII w r. 797 dochodzi do tego, że matka oślepia własnego syna. Rozwija się tedy zbrodniczość coraz bardziej, ale nie wymyślono jej dopiero w bizantyniźmie; przyszła gotowa i bardzo urozmaicona z Rzymu.

Z Rzymu też wyniesiono skłonność do monizmu prawa, mianowicie lekceważenia prawa prywatnego wobec wszechwładzy głowy państwa. Również z Rzymu przyjęto obojętność względem pochodzenia etnicznego; w Bizancjum również nie brakło na tronie barbarzyńców.

Oto są podobieństwa cywilizacji hellenistycznej w Azji, następnie w Rzymie i cywilizacji bizantyńskiej. Refleksy idące od tych podobieństw sprawiają, iż niektórzy uczeni uważają bizantynizm za ciąg dalszy hellenistyczności. Nie dostrzegaja przy tem jednej rzeczy, mianowicie, że to wszystko co rzeczywiście stanowiło hellenistyczności kontynuację, przedostało się do cesarstwa wschodniego nie z Azji ni z Afryki, nie z krajów hellenistycznych właściwych, nie wprost z hellenistyczności lecz pośrednio, za pośrednictwem Rzymu z okresu cesarskiego. Możnaby powiedzieć, że cywilizacja hellenistyczna, zdobywszy Rzym, kieruje się ztamtąd ku Wschodowi i zamyka na Bałkanie koło swego pochodu historycznego.

(D. c. n). FELIKS KONECZNY

„RUMIEŃCE WOLNOŚCI"

W NAJNOWSZEJ swojej powieści[1]) Kudliński idzie w ten sam sposób formalny, co w swoich „Wygnańcach Ewy". Snuje (jak Jules Romains w „Ludziach dobrej woli") wiele wątków, które razem, czyto splatając się ze sobą czy też nawet wymijając się, dać mają obraz epoki. Tylko tym razem przenosi nas w przeszłość, mianowicie w czasy rozbiorowe. Ludzie, których wprowadza, akcje które snuje, to są przeważnie ludzie historyczni, akcje historyczne, Czartoryski Adam, książę Józef, Kościuszko, zdaleka Dąbrowski generał, Sułkowski, na najdalszym krańcu Bonaparte wyłaniają się i świecą, jawią się carowie Paweł, Aleksander i inni jeszcze ludzie tej epoki.

Rodzajowy i czysto „powieściowy" element zastępuje tu mały ale waleczny szlachetka wielkopolski, żołnierz, podoficer, oficer W. P., potem przez Austriaków złapany i w szeregi cesarskie gwałtem oddany, Jakób Kierzkowski. Gdy Romains daje zbiór nowel, mających (albo i niemających ich) swoje dalsze ciągi, to Kudliński daje jednorazowe obrazy (jakby filmowe). Jest że to więc jakby jakaś popularyzacja historii w scenach malowniczych? Jeśli kto chce, to tak — i warto tę książkę choćby tylko z tego względu polecić do czytania, tymbardziej że opiera się na danych dokumentalnych. Kudliński przeczytał bardzo wiele i obfitą dłonią daje materiał historyczny z pamiętników, listów, biuletynów, sprawozdań różnego rodzaju.

Ale tu właśnie zaczyna się nowa kwestia, kwestia, która dla Kudlińskiego-artysty musiała być zagadnieniem formalnem, naczelnem. Jak napisać, ażeby, trzymając się jaknajbliżej historii prawdziwej czyli tej dokumentami zaświadczonej, jak najmniej odchodząc w stronę tradycyjnej dla tego gatunku literackiego fabuły anegdotycznej przez autora wymyślonej—stworzyć rzecz, która nie będzie popularyzacją historyczną ale dziełem sztuki? Oto pytanie. Nie można było całkiem własnej fikcji-anegdoty wykluczyć— i ona tam się znalazła z figurą tego dziarskiego. Kierzkowskiego. Także w życie intymne, wewnętrzne osób historycznych, wprowadza czytelnika, w to życie, które jest bluszczem psychologicznym z wyobraźni powieściopisarza wykwitłym, dookoła anegdoty przez historię przekazanej, wijącym się.

Ale tu o co innego szło, o zadanie artystyczne (ale i etyczne) głębsze. Jak samą historię, tę rzeczywistą i wielką historię, tak wkluczyć w opowieść, aby historia stała się nie czemś, co jest tylko tłem albo zgoła na dokładkę, ale przedmiotem przeżycia estetycznego, istotnego i czemś dla „zaistnienia" dzieła sztuki decydującem? Odrazu odpowiem, że zadanie to zostało, mojem zdaniem, rozwiązane świetnie lub prawie świetnie.

Ze strzępów i fragmentów prawdziwej historii, ze wspomnień, listów, biuletynów, utworzony został twór nawskroś organiczny, tak iż sama historia jest bohaterem tej powieści — i tem osiągnięta została owa t. zw. „unanimistyczna" forma (kompozycyjna) powieści, której teoretykiem jest Jules Romains. Tylko że Kudliński wydaje mi się lepszym niż on tego stylu praktykiem. Gdy u Romains'a uchwyt syntetyczny (przeżycie) epoki występuje dopiero *à posteriori* (od strony czytelnika biorąc) jako suma poszczególnych wrażeń od tej wielkiej (i żmudnej do czytania) machiny powieściowej — to u Kudlińskiego wprost przeciwnie. Jego forma odrazu wprowadza czytelnika, odrazu albo po kilkunastu stronach, w przeżycie artystyczne, czyli estetyczną (i etyczną) syntezę epoki. Jest to forma, powiedziałbym muzyczna, jakiś, choć nie ręczę za ścisłość tej terminologii, „kontrapunkt". Te *motta* rozdziałów, wstawki historyczne w formie informacji, co się w tym samym czasie dzieje gdzieindziej, kiedy w tekście dzieje się to a to — to jest wprawdzie i zabieg utylitarny popularyzatora historii — ale srogoby się pomylił ten, ktoby przypuścił, że to tylko to i nic więcej. Jest to bowiem najgłębsza artystyczna tajemnica tej powieści, efekt niezmiernie dyskretny a (jak myślę) będący własnym wynalazkiem autora „Rumieńców". Tu, jednym szlakiem idzie narracja częstokroć realistyczna, rodzajowa, psychologiczna, liryczna, słowem „powieściowa", w tradycyjnem znaczeniu tego słowa, ale drugim szlakiem z tamtym się wciąż przeplatając, idą te *motta*, które są monumentalnymi skrótami historycznemi wyrwanemi jak głazy z calizny gór, ustawione jak milowe kamienie — lub raczej, ażeby do akustyczno-muzycznego — porównania wrócić, jakby dalekie głuche grzmoty, jak akompaniament, jak echo sprzeciwne, a zgodliwe naraz, towarzyszące tekstowi głównemu, jeśliby tak wolno powiedzieć, jak epiczny kontrapunkt.

Dam przykład o co idzie: na str. 325:

Przy oblężeniu Aleksandrii, Sułkowski dwukrotnie zepchnięty był z murów. W następnej bitwie otrzymał ośm ran od pałasza i od strzałów. Plastry z ran nie były zdjęte, gdy Bonaparte wysłał go na podjazd w 15 koni. „Wygój się wprzód z ran" — błagał go przyjaciel. „Nieprzyjaciel nie ma tyle cierpliwości" — odparł Sułkowski. Przez Mameluków opadnięty, zarąbany został w dniu 21.IX.1798.

Siedzieli w areszcie na słomie i tłumili w sobie wściekłość. Pan Jakub obmacywał bolące boki, stękając, gryząc przekleństwa—i t. d.

Następuje ustęp o Kierzkowskim na półtrzecia strony długi, scena z filmu przygód Kierzkowskiego. Ale jakiemże pogłębieniem tej techniki, ba, wzniosłem ponad tę technikę wyniesieniem się, są owe wstawki historyczno-reportażowe. Wszystko razem wiąże się w wielką monumentalną melodię epiczną i to porusza jakieś uczucia heroiczne i jakieś uczucia estetyczne (formalne) i jest ra-

[1]) Tadeusz Kudliński. „Rumieńce Wolności". Powieść. Warszawa 1937. „Rój".

[2]) Mam natomiast wątpliwość, czy ekskiamacja „rany boskie!" jest charakterystyczną dla mieszczańskiej mowy warszawskiej — jak charakterystyczną dla krakowskiej (we Lwowie np. zupełnie nieznana, po „rany boskie" poznaje się niechybnie Krakowiaka — starej daty, obyczaju mieszczańskiego).

zem, estetycznie i etycznie, piękne. Dzięki tej kompozycyjnej formie mamy tu do czynienia z czemś zupełnie gatunkowo różnem od historycznego reportażu, mianowicie z dziełem sztuki.

Język doskonale dostosowany do epoki, pseudoklasyczny, dobrze w swej stylizacji przemyślany, a przytem zindywidualizowany w stosunku do osób i poszczególnych treści [2]). Bardzo zdyscyplinowany, oszczędny, czasem jakby za oszczędny, czasem możeby się chciało więcej żeromszczyzny, więcej lirycznej efuzji, Ale to już kwestia gustu. W tych zwięzłych skrótach ileż sercocelnej, ileż zadumę budzącej umie autor „Rumieńców" zgęścić treści, ile przejmującej obrazowości.

Oto parę zdań na próbkę:

Zaciekło się serce generała z żałości wielkiej, że mu tego szczęścia poskąpiono. Zaciekło się z krzywdy, że pomiatano nim, nie wedle życia go sądząc, ale wedle włók ziemi. Bo to naród niewolny był, *glebae adscriptus*...

Tak o doli osobistej Kościuszki, człowieka nowych czasów, osobistością swą ważącego a nie krescencją, gdy się wobec staroszlacheckich i wielkopańskich znalazł pojęć o dobranem małżeństwie.

Albo: Jak to wygląda po bitwie? Było coś strasznego i wielkiego, ale spłynęło, minęło i zostało tylko jakieś melancholijne pół-nic.

Szumią jeszcze strzały we łbie. Zapach prochu rozmazanego z potem po twarzy. Smród błota cuchnącego wolno. Ogłupiały Jakubek patrzy po żołnierzach, oficerach. Stoi bez broni, bez ładunku, wszystko porzucił, czapkę zgubił. Woda chlupie w butach. Dziura na kolanie, gacie widać. Tyle.

Połonne.

Apel. Czytają. Ten jest, tego brak, brak, niema, niewiadomo, zaginął, utopił się; czytają—więc to po bitwie?

Ta przejmująca prostota rzeczy wielkich i strasznych. Albo: Jak monumentalnie, z dwu barw, czarnej i srebrnej, skomponowany obraz nocy po bitwie:

Noc przyszła czarna i przerażająco piękna stanęła nad miastem-pobojowiskiem, krwi kałuże srebrem księżycowem zalała i t. d.

Któż z czytelników tego obrazu nie zobaczy? Albo: Jaka plastyka i jaka piekielna symbolika tego oto obrazu:

Zdejmowali poczerniałych już ze stryków hycle i układali byle jak na wozach, poczem za miasto ruszyli kopać dół dla zdrajców.

Mrok zapadł i księżyc wyszedł jasną łuną na czarne niebo. Zbyrczał wóz wolno jadący, szczękał żelastwem, na wybojach i na kamieniach podskakując a ci, nieżywi, nawet tym razem zgody między sobą nie zaznali, gdyż na gołych deskach leżąc, teraz jeszcze jakby się ze sobą targowali, to głowami tłukli się zawzięcie, to się ku sobie wzajem wytrząsali, to głowami przeczyli w niezgodzie nieustannej, aż ich dopiero dół ciemny pochłonął i na zawsze uspokoił.—

Od takich zobaczeń zależy, czy się jest czy nie jest artystą... Jest więc i ten artyzm form małych, partykularnych, i ten artyzm formy wielkiej totalnej, który całość utworu sprzęga we wzruszającą jedność. A myśl? Czyli ta ostatnia, ruszająca całym utworem treść jego intelektualna? Ideowy *leitmotiv* utworu? Tu raz jeszcze pomnijmy, że autor „Rumieńców" pisząc swą powieść historyczną, chciał mieć samą historię nie tłem jeno, ale bohaterem powieści—że stąd, łatwo mu było wypaść z artyzmu i pisać barwny reportaż — popularyzację, jako tako cenną, ale nie dzieło sztuki. Żeby to było artystyczne dzieło, musiała być jakaś selekcja i musiała być jedna myśl, sprzęgająca wybrane zdarzenia, myśl, która sama z siebie już jest estetyczna (tak, tak, i myśli są estetyczne, nie tylko kształty infra-intelektualne, te „formalne", w znaczeniu najściślejszem) — myśl estetyczna, czyli poprostu: piękna. Taka myśl, myśl, która tem samem stanowi selekcyjne kryterium jest w „Rumieńcach".

Jest to myśl patetyczna, wzniosła etycznie i przez to też estetycznie cenna (poprostu—piękna), myśl samostwarzania się narodu napowrót z upadku: z próchna, z nicestwa. Oto zaczyna się na nowo robić naród w duszach poszczególnych jednostek. Oni chcą, aby naród był, wbrew niebytowi, w który się już Polska była zapadała. Myśl nie nowa, ale zawsze życiem świeża, „rumiana" jakby Słowacki powiedział estetycznie monumentalna. Dookoła niej więc grupują się wybrane z historii prawdziwej zdarzenia.

Można się z powieściopisarzem z historycznego punktu widzenia sprzeczać, gdy on zdaje się inaczej oceniać odrodzeńcze („autokreacyjne") walory zdarzeń dziejowych, niż to powszechnie i w świetle zdrowego rozsądku historycznego jest przyjęte, gdy np. Konstytucję Trzeciego Maja załatwia mottem:

Pisał Sułkowski o Konstytucji z dn. 3 maja 1791 r.:

„I dla kogóż to, waleczni Polacy, chcecie przelewać krew waszą? Czyż chcecie ją wylewać, aby utrwalać posag jednej dziewięcioletniej Saksonki, której szczęśliwy małżonek ma się stać panem Waszym?"

Ale on nie pisze historii naukowej. On szuka linij stylu, wybiera dla stylu swej powieści to, w czem czuje najgłębszy i najistotniejszy epoki styl, a to była epoka,

gdy ów mąż, bóg wojny...

epoka sankiulotów i rzymskich orłów, szabel, bagnetów, sztandarów, śpiewów płomiennych, czerwonego francuskiego pożaru, ponad który wzbiła się jak rumak wspaniały wielka epopeja wojny, nowych praw rzymsko cesarskiego stylu. Ten jest republikański styl „Rumieńców", styl zamierzony i osiągnięty, i wolno było poecie (bo to poezja jest) dla tego stylu wedle swego artystycznego prawa dobierać, odrzucać, hierarchizować, historię prawdziwą. Istotę dziejową epoki widzi w Rewolucji i Napoleonie. Są fakty nagie i twarde, jest rzeczywistość gęsta. Było coś albo nie było. Na to niema rady. Ale już każda, nawet naukowa, synteza historyczna, opuszcza ten grunt twardy nagich faktów i pogrąża się w rzeczywistość mniej oporną, gdzie już wola widzenia zaczyna znaczyć subiektywizm myśliciela; cóż dopiero gdy artysta robi swoją syntezę?... Całem naszem wymaganiem jest wtedy, aby nie kłamał historii, nie przeinaczał faktycznego jej *residuum*.

Kudliński, jak wiemy już, chciał i potrafił z nagich przytaczanych stylem reportażu faktów zrobić tak ważny estetycznie walor swej powieści. Więc niema tam nic przeciw historii faktycznej. Ale tam jest jeszcze inna myśl historyczna, która zarazem jest najintymniejszem westchnieniem autora; przynajmniej tak czuję i węszę...

Młody Adam Czartoryski tak rozmyśla, już po wszystkiem, po Maciejowicach...

Obawiam się, czy i mnie nie przypadnie od losu w darze żywot prosty i spokojny, pozbawiony znamion wielkości i bohaterstwa, które jest tragiczne i piękne. Jestem spokojny i odważny, jednak, czy los można opanować?

Mam podejrzenie, czy nie tu jest centralne zdanie książki? A przez „zdanie centralne" utworu poetyckiego rozumiem to, w którem się wypowiedział jakiś najgłębszy „kłopot ducha" poety, przynajmniej w danym utworze najgłębszy, arcymotywacja utworu, ten niepokój ostatni, który był sprawił, że w ruch poszła twórcza machina... Nb. nie w każdym utworze da się znaleźć zdanie centralne. Są zaś inne, gdzie kilka zdań może pretendować o tę godność. Zdanie centralne po tem poznaję, że jemu odpowiada (lub powinno odpowiadać, jeśli autor rzecz swą przemyślał), zdanie szczytowe utworu, katarktyczne, rozwiązujące, wyzwalające, przyczem zauważyć należy, iż artystyczna katarzis może być—w sensie etycznym—rozpaczą i beznadzieją, ale cóż z tego kiedy jest jakiemś bądź co bądź rozwiązaniem dolegającego węzła.

Zdanie szczytowe może wpierw przez czytelnika zostać zauważone niż centralne i wtedy ono retrospektywnie oświetla „o co mu (autorowi) chodzi". Krytyk niema jednak obowiązku w tym samym porządku odkrycie swe przedstawić.

Więc i ja tu: Obawiam się, czy mi nie przypadnie od losu żywot pozbawiony znamion wielkości i bohaterstwa?.. Rozumiecie to?... Rozumiecie, co znaczy mieć serce otwarte na styl heroizmu, a ...być współczesnym inteligentem, skazanym na broń jedyną, broń smutną i niestraszną, myśli? Myśli piórem szerzonej? Czy znacie klątwę inteligenckiego poczucia historycznej niemocy?...

Najbliższym autorowi „Rumieńców" bohaterem powieści napewno jest Czartoryski młody, któremu nie dano na polu walki ojczyźnie zasługiwać się, którego na dwór zaborcy z komplementami posłano. Bohaterska dusza łamie się ze sobą. Ach, jak żyć? Jak żyć, ażeby „po latach, zpod zielska splątanego losów — wyjrzał chłodny marmur, trwający dumnie jak kamienie antyczne, świadcząc nieodpornie o wielkości minionej ale wiecznej".

Wielkość w rzeczy publicznej, w oparciu o powszechność. Czartoryski ma za sobą rzecz publiczną jakby beznadziejną, „państwo rozbite, naród własny upadły".

„Na czele tego narodu musi się stanąć, bo w nim, nieznanem losów zrządzeniem, utkwiło się jak gwóźdź wbity w opokę.

Wszyscy wokół bagnety ostrzą, szabel próbują, wierząc uparcie, że tym tylko sposobem buduje się wolność i niepodległość.

Otóż nie, nie—i nie. Nie tą drogą, co urastający na miarę olbrzyma Bonaparte. Nie gwałtem i orężem. Myślą.

Szumiały drzewa. Poczuł książę wypieki na policzkach od nadmiaru wzruszeń.

Rumieńce wolności — to są rumieńce wolności, gdy w obliczu historii kamiennej, gdy w obliczu przestrzeni gwiezdnych—myśl człowiecza dumnie strzela, jak nowa gwiazda w noc ciemną i zagadkową.

Gdy poczuwszy drgnięcie mocy boskiej w sobie wyzwolona się czuje z kręgu przeznaczenia".

Oto jest zdanie szczytowe książki, szczytowe i szczytne. I już wiadomo. Myślą służ, w myśli miej swą poręcz patosu, swą bazę samopoczucia. Adam Czartoryski będzie, tak przypuszczam, w miarę dalszego ciągu epopei rósł na symbol człowieka-inteligenta, który choć potencją materialną nie dysponuje, on jeden wyrywa człowieczeństwo i naród z kręgów przeznaczenia, którem jest śmierć. Dźwigać się myślą wbrew naturalnemu wszechrzeczy przekształceniu, wbrew ich skłonności w dół... Myśl będzie bohaterem najwłaściwszym dalszego ciągu epopei, dziejowa myśl polska, tragiczna, bo niezłomna pośród oporów straszliwie zawikłanych.

Tadeusz Kudliński oddając w szlachetnie patetycznym obrazie urodzenie się myśli wolnej i bohaterskiej, daje niewątpliwie poetycki konkret tego, co w filozofii Wrońskiego (której jest zwolennikiem) nazywa się „autokreacją" czyli „samostworzeniem", ale dla czego nosicielem Myśli nie uczynił Hoenego?.. Miał-że by był jakie trudności? Pomińmy tę kwestię, i tylko stwierdźmy, że mamy w tej powieści całkiem nowy i oryginalny uchwyt postaci Adama Czartoryskiego.

Zostanie po tej książce pod powiekami wizja czarna i błękitna kolorów żałobnych a bohaterskich, czerwonem złotem obrzeżona najwyższego patosu; zostanie w wyobraźni patos tej epoki dziwnie uroczej, klasycyzującej tak chętnie, a tak romantycznej, salonowej a wojennej, pańskiej jeszcze i rycerskiej, a już demokratycznej; w sercu (pozwólcież mi i tem dysponować słowem!) otóż w sercu będzie podniecony żar dumy potrzebnej przeciw wstydowi, i żar miłości, która chce, żeby służyć i umierać; ale żar jakiś chłodny, uparty, trwały, rzekłbym znowuż: klasyczny, uczucia estetyczne będą rozbrzmiałe harmonijnie kompozycją muzykalną i stylowem przeprowadzeniem utworu. Jest to jedna z książek, które się będą, jak tuszę, kłaść między prawdziwie dobremi i bardzo dobremi.

Ta książka Kudlińskiego jest pierwszem jego dziełem na tę już bezwątpienia wysoką miarę. Od „Smaku świata", od „Wuja Rafała" (książki interesującej i aktualnej!) a nawet od „Wygnańców Ewy", krok naprzód i w górę jawny i znaczny. *Vivat sequens.* Byleby się nie spieszył zbytnio z częściami następnemi epopei. Oby i następne tomy wyszły nie ze spieszącej się ambicji, ale z pełni zamyślenia, zamyślenia, które się zanurzy w całą mękę i trud tej myśli, co się przeciwiła śmierci i tajemną linię życia obnażała w gęstwie pytań, trudnych przeraźliwie...

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NA WIDOWNI

Rzecz o wiośnie, a właściwie o wróżeniu z serca i z wabia kukułek.—O tablicach Wokulskiego i Rzeckiego. Warszawa zakwita na ścianach legendą. — Kukułka w wyobraźni ludu. — Gniazda w błąd wprowadzane.— Dwa światy.

NAJBARDZIEJ sensacyjną odmianą w roku jest wiosna. Nie trzeba tylko wiosen liczyć. Za najmniej właściwe uważam pytanie:

— Którą też wiosenkę pan dobrodziej sobie liczy?

O czem tu gadać! Każda wiosna jest jedyna w życiu. Najwłaściwiej postępował stary subiekt Wokulskiego, pan Ignacy Rzecki. Wierzył gazetom, że wiosna nadchodzi (bo jej przecież nie widział ze swego zakratowanego okna w podwórku), ujmował gitarę i głosem, na jaki go stać było, śpiewał:

Wiosna się budzi w całej naturze,
Witana rzewnem słowików pieniem,
W zielonym gaju ponad strumieniem
Kwitną prześliczne dwie róże...

Prawa przyrody są niezłomne, aczkolwiek nie zawsze punktualne. Ot i teraz, gdy już ująłem gitarę, widzę śnieg na ulicy. Ale to sprawa nie moja, człowiek powinien przestrzegać terminów.

— — — — — — — — — — — —

A propos Rzeckiego. Nie wszyscy wiedzą, co go spotkało tej wiosny, właśnie w 25-lecie śmierci autora, który dał mu życie. Żywot to imaginacyjny, ale czy nie trwalszy od tych żywotów przechodnich, którym każda wiosna wydaje się ironią.

W maju roku ubiegłego znany poeta, autor przepięknych legend Warszawy [1]) ogłosił w „Myśli Narodowej" (nr. 23) artykuł p. t. „O tablicę ku czci Rzeckiego". Pisał tam:

„Na posąg godny duchowego olbrzyma (B. Prusa) zdobędziemy się prawdopodobnie nie rychło. Ale moglibyśmy bardzo tanim kosztem wmurować przy dobrej woli skromniutką bodaj, kamienną tablicę na tym domu przy ul. Wilczej, w którym Prus umarł. Moglibyśmy również opatrzeć skromniutkiemi bodaj kamiennemi tablicami te dwa domy na Krakowskiem-Przedmieściu, w których mieszkali dwaj naczelni bohaterowie „Lalki": Wokulski i Rzecki.

Skoro przed paru laty Hiszpania mogła w podobny sposób uczcić cerwantesowskiego Don Kichota, skoro w Anglii opatrzono pamiątkową inskrypcją lokal, w którym dickensowski Mr. Pickwick bankietował z przyjaciółmi, czemuż nie mielibyśmy poświęcić tablic pamiątkowych owym dwu postaciom fikcyjnym wprawdzie, ale przez wpływ, jaki wywierają na pokolenia czytelników, bardziej zasłużonym, niż wielu działaczy rzeczywistych. *Notabene* postaciom, będącym powieściowemi inkarnacjami samego Prusa, który zarówno w Rzeckim, jak w Wokulskim odmalował przedewszystkiem samego siebie, bez względu na to, że tych czy owych cech zewnętrznych zapożyczył od innych modeli".

Niespełna w rok marzenie Godlewskiego zrealizowało się. Ni stąd ni zowąd w ściany dwu domostw ku zdziwieniu ich właścicieli i przechodniów wrosły płyty kamienne. Kamienie przemówiły.

Jedna z nich na frontowej ścianie domu nr. 4 na Krakowskiem Przedmieściu głosi:

W tym domu
mieszkał w latach 1878—79
STANISŁAW WOKULSKI
postać powołana
do życia przez
BOLESŁAWA PRUSA
w powieści p. t. „Lalka"
uczestnik powstania
1863 roku
były zesłaniec syberyjski
były kupiec i obywatel
m. st. Warszawy
filantrop i uczony
urodzony w r. 1832

A po drugiej stronie ulicy o staję dalej pod nr. 7 w podwórzu nad okienkiem druga tablica przemawia tak:

Tu mieszkał
IGNACY RZECKI
postać powołana
do życia przez
BOLESŁAWA PRUSA
w powieści p. t. „Lalka"
były oficer piechoty
węgierskiej i uczestnik
kampanii roku 1848
handlowiec
sławny pamiętnikarz
zmarły w roku
1879

Samo to się nie zrobiło. Piękną inicjatywę Godlewskiego podparły funduszami wydawnictwa „Wiadomości Literackich", Gebethnera i Wolffa, dali też parę groszy przyjaciele z „Myśli Narodowej" i to wystarczyło na koszta. Najtrudniej było to literackie widzenie duchów Wokulskiego i Rzeckiego uprzystępnić władzom (magistrat, komisariat Rządu, ministerstwo oświecenia), które projekty tych tablic, sporządzone przez znanego artystę Wajwóda, legalizowały. Stąd mitręga, dochodziło bowiem do tego, że dygnitarze zmuszeni byli przeczytać „Lalkę". Ale czegóż nie dokaże upór poety, zapatrzonego w rzeczy niewidzialne, a jednak realne dla tego świata, który człowiek buduje z ducha i dla ducha. Wykonanie tablic i wmurowanie ich w ściany było już tylko drobnostką, ile że do roboty wzięła się chlubnie znana firma pana Jana Rudnickiego.

Dla czego drogie są społeczeństwu owe postaci Prusa? Wyobrażają one tę siłę życia, która dźwiga naród wzwyż, czyni go narodem historycznym i wprowadza w system wielkiej cywilizacji. Ktoby się dziwił (a któż się nad tem nie zastanawiał?), jak się stało, że drzewo polskie, tak od losu politycznego zmaltretowane, nie uschło, temu owe tablice odpowiedzą: Byli Wokulscy i Rzeccy — Nie tylko na wsi wśród malw i zbóż przechowała się pamięć dziejowa; pulsowało krwią życia serce miast. Od ekspedientów sklepowych do szczytów sfery oświeconej (jak Wokulski) krążyła idea rozwoju, zasilana pamiętaniem i marzeniami. To były soki żywotne w drzewie naszego żywota. Bolesław Prus — serce serc — je widział i postaciował, Wokulski i Rzecki to symbole poetyckie sił żywotnych Polski. Ich tablice na ścianach —

---

[1]) „Warszawa". 1931. Tow. wyd. „Patria". Cena zł. 4.

to dobra wróżba dla stolicy. Sprawdzianem ich wartości poetyckiej jest to, że tak kocha te postaci ogół polski i że poeci, jak Godlewski, widzą je realnie, jako żywe.

— — — — — — — — — — — —

Zaiste to są tematy wiosenne. Ludzie wrażliwi, którzy, jak Wyspiański, „chcą widzieć, słyszeć, tężyć słuch, jak z kwiatów spada kwietny puch", jak krążą soki w budzącym się z zimy drzewie, mają tyle wiary w życie, że dla nich zakwitają ściany, nie tylko drzewa.

Ludzie prości na wsi, owszem, wyczuwają dobrze przyjście wiosny nawet kościami, ale całkowitą dają jej wiarę wtedy, gdy wiosnę obwieści kukułka...

Dziwny to ptak, bo każdy co innego sobie wróży z jej zagadkowego powiedzenia: ku-ku. Jest to zależne od wieku, płci, kondycji, nawet od — wyrobienia politycznego. Ptak to niezbyt moralny i niepewny; lud wiejski na wszelki wypadek otoczył ją dość życzliwą legendą. Pełno jej w falklorze, w tej arce przymierza między światem ludzkim a światem przyrody.

W r. 1897 znakomity uczony, Erazm Majewski, skupił koło siebie kółko młodzieży, która pod jego kierunkiem zbierała po książkach i czasopismach materiał folklorystyczny według tematów przyrodniczych. Majewski zanim się stał archeologiem i etnografem był przyrodnikiem. Interesowały go pojęcia ludu o zjawiskach przyrody. Opracował w ten sposób Chmiel, Bociana i in. W tomie XII „Wisły" z r. 1898 ogłosił plon, dotyczący kukułki.

To jest ciekawe, że lud wiejski, mający niezły wywiad w sprawach przyrody, w kukułce widzi zbójnika. Nie przeszkadza to jego fantazji budować na tem legendy. Dzieje się w tej legendzie coś podobnego, jak z Janosikiem. Pochodzenie ptaka jest legendarne, ale i kariera niemała. Na starość kukułka bierze na siebie postać krogulca, jastrzębia, wreszcie orła. Pierwiastek sentymentalny w kukułczanej poezji — wydaje mi się — narzucony został ludowi przez poetów miejskich, śpiewających przy gitarze o wiośnie, która się „budzi w całej naturze" i tak pięknie rymuje z tem „dwie róże".

Owa kukułeczka (zazula!), która intryguje przyrodę swojem „ku-ku" — to jest szelma samiec. Samiczka głosu nie zabiera, popiskuje sierota, mało kto o niej wie. Rodziny u kukułek niema. Samiczka szwęda się, jak to w poliandrii, „Zapomina się" nieraz z byle dudkiem. Chłopi o tem wszystkiem wiedzą, tak jak wiedzieli Grecy starożytni, jak wiedzieli oddawna Indusi i jak to dokładnie stwierdził znakomity nasz ornitolog Taczanowski. Ród kukułczy ma złą opinię, a jednak że zło budzi trochę strachu, więc się je mitologizuje. Rodzi się legenda: a to dusza pokutująca, a to sierota, a to wdowa, a to bohaterstwo. Stąd pochodzi jednanie sobie kukułki pochlebstwami w pieśniach weselnych, aby się rodzina nie popsuła, jak tym ptakom.

Szczególną sensację w pojęciach ludu wywołuje stwierdzenie faktu, że kukułka wyzyskuje cudze gniazda. Na ten temat robione są teraz podobno aluzje polityczne, jakoby kukułka była sanatorem praw przyrody.

Kukuł męski cwani ptaki kukaniem i sprytnie podrzuca dudkom czy pliszkom swoje jajka. Jak stwierdziła nauka, jajko kukułcze przybiera wkrótce barwy ptaka, który na niem siedzi. Ptaszę bardzo jest dumne z tego, że z jednego jaja wykluło się mu coś osobliwie obiecującego i otacza to pisklę szczególną łaską. A gagatek wkrótce poczyna sobie totalistycznie, sadowi się pośrodku na najlepszej posadzie, a inne dzieci wypycha z gniazda na zbity łeb. Wszystkie gniazdka, gdzie są jajka kukułcze, znajdują się pod dozorem kukułki, a są miejscowości (Zabrzeż, Tymbark), gdzie chłopi utrzymują iż, ptaka, który nie chce wysiadywać, kukułka przywiązuje włosieniem do gniazda, a gdy to nie pomaga, wiesza na gałęzi. Więc nie jest to tak dobrowolne, jak poeci przedstawiają.

Wogóle kukułka uchodzi za złośliwego ptaka, nawet za złowieszczego. Na wiosnę kuka w sposób poetycki, ale jesienią, kiedy świat niszczeje, lud wyraźnie słyszy, że kukułka śmieje się: „cha, cha, cha"!

Nic też dziwnego, że ludzie, słysząc kukanie na wiosnę, łapią się za kieszeń. Mają złe przeczucia, bo nuż się przytrafi niespodziana należytość, po którą w jesieni zgłosi się już nie kukaweczka, lecz krogulec i zaśmieje się: cha, — cha! Więc schlebiają kukułce, jako dobrej wróżce.

— — — — — — — — — — — —

Tak, wiosna porywa do życia. Człowiek się dzieli między dwa światy. Z jednej strony ma świat idei, z drugiej — przyrodę, i sam nie wie, który z tych światów realniejszy. To pewna, że kraina idei wyzwala go z matni, w którą sprzeczności wikłają życie, i wyprowadza na prostą drogę prawdy.

To jest wiosną w życiu narodu, co odradza serce ludzkie pragnieniem ideału doskonałości. Tak wierzył Bolesław Prus i jego bohaterzy Wokulski i Rzecki. Oby nadal takie duchy nas wiodły! Darmo wróżyć sobie szczęście z wabienia kukułek.

ZYGMUNT WASILEWSKI

W HISZPANII I WE FRANCJI

GROMIONY pod Madrytem marksizm stara się odegrać w dzisiejszej Francji. Na froncie sił walczących światowej rewolucji bolszewickiej następuje przegrupowanie. Obrona okupowanych przez Moskwę ziem hiszpańskich to może już tylko kwestia tak pogardzanego przez materialistyczny pogląd na świat, honoru. Podpala się obecnie proch na przedmieściach Paryża. A może się uda rozniecić ogień na ziemi francuskiej i przenieść go na południe poza Pireneje, by na nowo poczęły gorzeć pogaszone zgliszcza? Kto wie — może...

W każdym razie akcja komunistyczna rozwija się według znanych metod i nie bardzo nawet ukrytych planów. Pierwsze stadium — krańcowy liberalizm oparty o nietwórczy parlament oraz aż do granic zwyrodnienia doprowadzoną wolność prasy. Drugie stadium — fala strajków i zupełnie już nieliberalnego gatunku represje w stosunku do zorganizowanych sił narodowych. Trzecie — rząd socjalistyczny, mający być przygrywką, wstępem. Obecnie nadchodzi już okres prowokacji. Policja zmuszona jest do strzelania, cel — polanie się „robotniczej krwi" osiągnięty. Frazes przemówienia, refren piosenki ucieleśnia się. A że przy tem nastąpi kompromitacja socjalistycznego rządu — nic to.

Z zadziwiającym wprost cynizmem komuniści

rozprawiali się zawsze ze swymi towarzyszami nieco z prawej strony. Kompromitacja socjalizmu jest jednym z etapów planu Trzeciej Miedzynarodówki. Prawie jednocześnie z wypadkami w Clichy odbył się w Paryżu odczyt generała Weyganda przepojony na wskroś duchem żarliwego katolicyzmu, oraz dokonano przeniesienia zwłok ś. p. Marszałka Focha z podziemi kościoła Inwalidów do kaplicy św. Abrożego, by je złożyć w speajalnie wzniesionym grobowcu (dłuta, niestety... Landowskiego).

Foch i Weygand. Dwaj świetni przedstawiciele bohaterskiej armii. Wcielenie ideału chrześcijańskiego rycerstwa. Jeden spoczywa snem wiecznym obok genialnego Napoleona, drugi został usunięty ze służby, przeniesiony w stan spoczynku. Francja Bluma nie mogła współpracować z człowiekiem o takim gatunku. O tak wysokim gatunku.

Widok spychanej w cień, lub odchodzącej do lepszego życia plejady katolickich generałów na tle wzniesionych pięści, symbolów „nowego życia", nakazuje się głęboko zastanowić nad położeniem Francji. W Clichy tłum komunistyczny atakował. Tłum patriotyczny broniąc się śpiewał „Marsyliankę".

I to jest moment najbardziej tragiczny. We Francji katolicyzm zbyt jest zindywidualizowany a nacjonalizm zajął pozycje obronne. Akcja Donota, jedyna akcja, która nosi znamię ataku, nie przybrała dotychczas na sile. Nie stała się ruchem dynamicznym. Nie jest w stanie dokonać zbawczej narodowej rewolucji, wskutek czego Francji grozić może o wiele bardziej dla niej, aniżeli dla Hiszpanii tragiczna wojna domowa: linia Maginota, mimo całej precyzji i pomysłowości urządzenia nie zastąpi Pirenejów.

Trudno przeprowadzic analogię między dzisiejszą Francją a Polską. My, mimo wszystko, mimo nawet bezpośrednie sąsiedztwo ze Związkiem Sowieckim znajdujemy się w lepszej sytuacji. U nas ewolucja życia idzie zdecydowanie w kierunku nacjonalistycznym. Baczmy tylko, aby nacjonalizm ten był z gatunku atakujących. Obserwując jego rozwój dochodzimy do wniosku, że jednak nosi on znamię ataku. Zestrojenie zupełne z katolicyzmem jest jego najlepszym przejawem.

Biskup Gerlier powiedział w swoim odczycie warszawskim, że Francja była zawsze pionierką myśli katolickiej, a Polska jej rycerzem. Dzisiaj jesteśmy przekonani, że i pionierstwo kulturalne będzie naszym udziałem.

ZJAZD PRASY KATOLICKIEJ

(WRAŻENIA)

JAK wiadomo, w dniach 8 i 9 b. m. obradował w Warszawie pierwszy zjazd prasy katolickiej.

W sali „Akcji katolickiej" w „domu Piusa XI", zgromadziło się zgórą sto osób na dwudniowe narady. Za stołem zasiedli przedstawiciele episkopatu, a mianowicie: właściwy „leader" jego akcji prasowej, ks. biskup Adamski; inny Ślązak z urodzenia — biskup polowy Gawlina oraz przedstawiciele dwuch innych dzielnic rozbiorowych: arcypasterz kujawski, ks. Radoński i sufragan przemyski ks. Tomaka.

W audytorium zaś rozsiedli się przedstawiciele katolickiej prasy, stołecznej i prowincjonalnej: dzienników, tygodników i miesięczników; dalej zaś—szefowie „Akcji katolickiej" w sutannach i marynarkach; panie biorące udział w katolickiej akcji społecznej i goście.

Chwila jest dla prasy katolickiej osobliwa, bo, chociażby mówić się już nie miało o tym wielkim organie dla inteligencji katolickiej, który część episkopatu, w myśl zaleceń Ojca świętego, utworzyć zamierzała w jesieni 1932 r., to istnieją przecie w pewnych kołach konkretne zamiary „zesyndykalizowania" czy „zetatyzowania" naszej prasy, które bynajmniej katolikom (patrz przykład włoski) nie dogadzają.

Zjazd przygotowało siedmiu referentów: duszą jego był wymieniony już ksiądz biskup śląski, prowadzący we własnej diecezji rozległą i intensywną działalność wydawniczą; organizatorem-szef „Kapa", prałat Kaczyński; obok zaś nich wypowiedzieli wykłady dyskusyjne: redaktor „Przeglądu Powszechnego", ojciec Kosibowicz; wice-redaktor „Czasu", dr. Jan Moszyński; ks. dyr. Wojsa w zastępstwie ks. prof. Wyszyńskiego z seminarium włocławskiego; minister Władysław Sobański i dr. Hein Hoeben z Bredy, sekretarz generalny międzynarodowej unii prasy katolickiej.

W dyskusji nad tymi referatami zarysowały się dwa odrębne pośród katolików obecnych poglądy. I tak—prześwietny co do formy retorycznej referat ks. red. Kosibowicza na temat „Propaganda i obrona myśli katolickiej przez prasę katolicką", bijący „jak w bęben" w pozytywizm, w materializm, wywodzący się wreszcie z ducha pogańskiego totalizmu, a ostro się przeciwstawiający fałszywie pojętemu kapitalizmowi, wywołał jednak repliki ze strony pp. Medarda Kozłowskiego i Jana Moszyńskiego. Przemówienie, zwłaszcza tego ostatniego, pełne umiaru, nacechowane duchem chrześcijańskim i wyrozumiałością społeczną, wywołało na sali silne i doskonałe wrażenie.

„Gwoździem" obrad popołudniowych był wygłoszony w języku niemieckim odczyt dr. Hoebena (czyt. Hubena) o „istocie i zadaniach międzynarodowego związku wydawców i dziennikarzy katolickich".

W osobie d-ra Hoebena powitała sala przedstawiciela trzechmilionowej, a tak świetnie zorganizowanej i aktywnej rzeszy katolików holenderskich. Uznaniu dla nich dali wyraz w przemówieniach francuskich: min. Sobański i K. M. Morawski, przedstawiciele związku Pisarzy Katolickich, których odezwę, pióra p. Zofii Kossak odczytał prezes Sobański.

Referat ks. prof. Wyszyńskiego: „Zagadnienia współczesnego życia wymagające rozświetlenia przez naukową prasę katolicką" (odczytany drugiego dnia zjazdu), poruszył najżywotniejsze zagadnienia aktualne, jak problemy ustrojowe, związane z reżymami Dolffussa, Hitlera, Mussoliniego, Stalina, Salazara i t. p.

Ks. prałat Kaczyński i dr. Moszyński oświetlili wyniki ostatniego kongresu prasowego w Rzymie; dalej zaś rozwinęła się wszechstronna dyskusja nad rozwojem i kształtowaniem się opinii katolickiej w Polsce; na zakończenie zaś zjazdu rzucona została przez K. M. Morawskiego i podjęta życzliwie przez prezydium zjazdu myśl, aby niebawem urządzić rekolekcje zamknięte dla dziennikarzy i publicystów, których ks. biskup Adamski zaprosił do siebie na Śląsk.

TESTIS

NAUKA i LITERATURA

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

NIE tak dawno pisałem na tem samem miejscu o nieprzyjemnej książce Uniłowskiego o Brazylii, gdy już ukazał się drugi utwór tego samego autora. Pozwala on lepiej zrozumieć jego indywidualność zarówno artystyczną, jak „ludzką" i dopełnia sylwetkę kandydata do nagrody „młodych" Polskiej Akademii Literatury.

Jak wiadomo, Uniłowski był jednym z powołanych, ale nie wybranych. Palmę pierwszeństwa przyznano komunizującemu poecie — Łobodowskiemu.

O ile „Żyto w dżungli" było poprostu nieprzyjemną książką i zasługiwało na zwrócenie uwagi ze względu na niefortunny dobór stypendystów literatów, mających robić propagandę naszej emigracji, o tyle „Dwadzieścia lat życia" [1]) kwalifikuje samego autora — jest jego świadectwem w księdze współczesnej literatury polskiej i pozwala sądzić o kierunkach rozwojowych tego niewątpliwego choć ograniczonego talentu. Niestety świadectwo przedstawia się opłakanie, a kierunki rozwojowe prowadzą wyraźnie w ślepą ulicę. Jest więc obawa, że talent się zmarnuje i choćby dla tego warto o tej bardzo przykrej książce napisać.

Uniłowski należał dotąd do tych młodych pisarzy, którzy marnują się w atmosferze kawiarnianego snobizmu. Dobry narrator, obdarzony sporą wrażliwością, żywością reakcji na zjawiska otaczającego świata, nie zdradzał nic poza talentem, który nie wyprowadził go dalej poza próby i szkice, bezpośrednie przerabianie własnego życia, tak charakterystyczne dla pisarzy naszej epoki. Zbyt słabi aby stworzyć własne konstrukcje, nie są w stanie ich czerpać ze świata, który przechodzi właśnie okres reorganizacji i braku skończonych, czy pełnych systemów. Jest to okres kiedy wyjątkowo łatwo odróżnić talent od geniuszu, czy może skromniej się wyrażając, jednostkę twórczą artystycznie od tylko utalentowanej. Człowiek obdarzony jedynie wrażliwością i zdolnością bezpośredniego reagowania chwyta się w tym wypadku oczywiście kurczowo jedynej pewnej konstrukcji, konstrukcji własnego życia. On sam jest dla siebie skończony jako układ, życie o wyraźnej kontrapunktowej linii rozwojowej ma niewątpliwie jakąś zamkniętą budowę, która powtarza się od początku istnienia ludzi na ziemi.

Szkielet tej budowy jest mu równie nieznany jak szkielet budowy otaczającego świata. Aby dać jasną konstrukcję, musiałby ją stworzyć, dokonawszy wyboru z pośród kłębowiska różnorodnych elementów. Ale człowiek—tymbardziej gdy przyjmie się materialistyczny punkt widzenia — ograniczony swem krótkiem życiem i wyraźną fizjologiczną i psychiczną linią rozwojową, da się pozornie ująć przez powtórzenie wszystkich nieuchwytnych elementów, zanotowanie wszystkich zaobserwowanych szczegółów po kolei, co byłoby już znacznie trudniejsze, gdyby usiłować tę samą metodę zastosować do społeczeństwa, czy nawet jednego zjawiska społecznego, jednej grupy ludzi. Wówczas znowu wysunęłaby się konieczność dokonania wyboru, a więc konieczność konstruktywna, twórcza, a nie odtwórcza.

Pisarz, który chwyci się tego środka, ma już ułatwienia w postaci szkoły, do której może się zaciągnąć—oczywiście tylko w swem pojęciu. Jest to szkoła Prousta i jego poniekąd ucznia—Joyce'a. Jak już powiedziałem, zaciągnięcie się w szeregi uczniów tej szkoły jest tylko pozorne: Proust bowiem celował właśnie konstrukcją twórczą zbudowaną na przestrzeni własnego życia, konstrukcją karkołomnie trudną, której chyba tylko tak wyjątkowy talent, wyrosły pozatem na gruncie francuskiego konstruktywizmu mógł podołać. Niezrozumienie tej, bodaj najbardziej zdumiewającej strony twórczości autora *„A la recherche du temps perdu"* doprowadziło na tle obecnej sytuacji literatury w świecie (o czem wyżej) właśnie do powstania szkoły usiłującej wzorować się na metodzie niemożliwej do naśladowania. Staranie się o fotograficzne odtwarzanie życia we wszystkich szczegółach nie pozwala schwytać w sieć utworu naturalnej konstrukcji razem z niepotrzebnymi ornamentami i przybudówkami, przedewszystkiem dlatego, że opisanie w ten sposób jednego dnia życia zajęłoby parę szaf biblioteki, gdyby wogóle było możliwe. Próba psychoanalityczna Joyce'a, wyciągającego za pośrednictwem swej celtyckiej psychiki inne konsekwencje z Proustowskich założeń, była znowu karkołomna, o sukcesie problematycznym i zbyt pracowita dla pisarza typu Uniłowskiego.

Wobec tego trzeba było wprowadzić dalsze ograniczenia: poprzestać na opisywaniu wydarzeń nowych w życiu opisywanej jednostki, wypadki codzienne powtarzające się, zaznaczyć w ich powtarzalności, a przesuwać się kolejno od jednego przełomowego wypadku do drugiego, nie unikając najdrobniejszych.

Uchwycić życie w jego zmienności, a jednocześnie wobec małego dystansu od jednego przełomu do drugiego uzyskać całą monotonię i szarzyznę przeciętności, która według krążących obecnie prądów, ma być właśnie interesująca sama w sobie.

Jakiż skutek tej metody? Tom pierwszy powieści zatytułowanej „20 lat życia", obejmujący tylko dwa niecałe lata. Lata w dodatku w życiu przeciętnego człowieka nie specjalnie przełomowe, bo od 9—11 roku życia, poprzedzające okres dojrzewania; czyli początek jeszcze jednego z tak popularnych obecnie „gigantycznych dzieł" nigdy nie kończonych—cyklów powieściowych, będących nagromadzeniem szczątków niewykrystalizowanych natchnień, zwalonych na jeden stos, który pozornie ma stanowić całość.

W wypadku Uniłowskiego jest pewien czynnik jednoczący, który poza tem stanowi, dalsze ograniczenie proustowsko-naturalistycznej metody, ograniczenie nieuniknione wypływające z danych indywidualnych autora. Reakcje na świat otaczający nie mogą być przecież nieograniczone. Wrażliwość nawet najbogatsza może chwytać tylko pewną ilość zjawisk. Jedną zaś ze słabych i mocnych równocześnie stron talentu Uniłowskiego jest ubóstwo zakresu wrażliwości — delikatnej, ale jednostronnej w stopniu graniczącym ze stanem chorobliwym.

[1]) Zbigniew Uniłowski: „Dwadzieścia lat życia". Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego. T. I Str. 345.

Przykry ton, który obserwowaliśmy w tak osławionych wrażeniach tego autora z armii, a potem w refleksjach brazylijskich, nie wypływał, jak się już zupełnie wyraźnie okazuje z niechęci w stosunku do okoliczności w jakich się wbrew swej woli znalazł. To wynik swoistej postawy psychicznej, reagującej tylko na to co brudne, wykrzywione, zboczone, śmierdzące. Momenty jaśniejsze, które muszą się znaleźć od czasu do czasu w książce, są traktowana dziwnie konwencjonalnie i sentymentalnie — Uniłowski porusza się wtedy niezgrabnie jak foka wyciągnięta daleko na ląd ze swego żywiołu. Czasem usiłuje pokrywać je ironią, patrzyć na rzeczy niepokryte brudem występku i zboczenia jako na niemniej śmierdzące i wstrętne—przez swe kołtuństwo. Ale nawet i w tym wypadku rzecz staje się naiwna w wyrazie, traci na sile i plastyce, nabiera cech naiwnej ideologii, która miejscami przebija, jakby świadomie wtrącana. I tak w początku książki mamy wyraźne akcenty w postaci żydka-patrioty, ciepłe sentymentalne wzmianki o Piłsudskim, potem dopiero rzecz nabiera rozpędu, skacze w swoje błoto i nurza się w nim do końca, od czasu do czasu tylko przypominając sobie o ideologii i wtrącając naiwnie — złośliwe uwagi antyklerykalne czy inne z tego samego składu.

Uniłowski, którego okrzyczano jako szkodliwego dla swej ideologii; w gruncie rzeczy żadną myślą społeczną nie jest przejęty. Sposób jego reagowania jest wyłącznie artystyczny o posmaku patologicznym. Ta strona jego twórczości zdradza najsilniejsze przejawy jego talentu pisarskiego, ma zresztą wartość tylko fragmentaryczną, bo oczywiście o ile każda z niezliczonych anormalności seksualnych, napotykanych przez dziewięcioletniego chłopca ma wyraz prawdy, o tyle całość jest tylko prawdą wewnętrzną Uniłowskiego — prawdą dla reszty normalnych ludzi najzupełniej obcą i nietyle obojętną, ile odrażającą. Postać dziecka wcale nie ze środowiska inteligencji, rozczytanego w tym wieku w „Braciach Karamazowych", czy w „Lalce", dziecka, którego przeżycie wewnętrzne, odczuwania są z punktu widzenia psychologii rozwoju człowieka absolutnym anachronizmem, ta postać centralna książki nie przedstawia żadnej wartości artystycznej. Posiadają ją jedynie fragmenty powiązane razem jednolitością tonu uczuciowego, a raczej jednostronnością reakcji. Dlatego właśnie mówiłem, że jest to i mocna strona Uniłowskiego: daje ona nagromadzeniu nieskonstruowanych fragmentów jedność nastrojową, która wiąże w całość.

Całość ta przedstawia przykry widok i każe snuć smutne horoskopy na przyszłość. Atmosfera admiracji talentu Uniłowskiego jaka panuje w jego środowisku, promując go na polskiego Zolę, nie pozwala żywić nadziei. Zresztą patologiczne zabarwienie całej dotychczasowej twórczości każe się obawiać, że i proste wyzwolenie od środowiska nie wiele by pomogło. Pewne jest tylko, że środowisko wiele uczyniło dla dopomożenia demoralizacji. Jeden dokument więcej.

ANDRZEJ MIKUŁOWSKI

ZE ŚWIATA SZTUKI

Telegramy doniosły o śmierci znakomitego kompozytora Karola Szymanowskiego. Zmarł w Lozannie po długiej chorobie w wieku 54 lat.

W najbliższym zeszycie damy życiorys.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ks. Józef Jarzębowski. Marianin. „Duchowe oblicze Traugutta". Warszawa 1936. Wydawn. księży Jezuitów, str. 40. Odbitka z „Przeglądu powszechnego".

Na niewykorzystanych dotychczas materiałach, będących w posiadaniu autora, relacjach córki Dyktatora, oparta praca może i powinna się stać ważnym przyczynkiem w dyskusji, którą za nas i w obliczu nas życie samo toczy na temat:—Jakim winien być Dyktator, Wódz i Wychowawca Narodu? Odpowiedzi dostarczy życie Romualda Traugutta, odzwierciadlające jego wysokie piękno moralne w głoszonych hasłach, dokumentujące wierność wyznawanym zasadom w czynie i śmierci na posterunku.

Konsekwentny katolicyzm w najpiękniejszej, polskiej odmianie!—oto, co się ciśnie na usta przy czytaniu prywatnej i urzędowej korespondencji Traugutta. W istocie poszczególne rozdziały jego światopoglądu, zawierające stosunek do narodu, państwa, rodziny, społecznej miłości i sprawiedliwości, ducha obywatelskiego i rycerskiego, ukształtowały się wyłącznie ze względu na wyższy, nadprzyrodzony porządek narodowego istnienia. Jest to po części zgodne z tradycjami polskiego mesjanizmu, odrywającego naród od jego biologicznej podstawy ku wyższym, ponadczasowym przeznaczeniom.

„...Bóg podzielił ludzkość na narody, dając każdemu z nich pewne odrębne cechy,—każdy więc naród równe ma prawo do swego istnienia jako niezależna jednostka, rozwijająca ze swobodą zupełną tę myśl, którą Stwórca w jej ono złożył". (Dubiecki).

Celem narodowego bytu „...niepodległość i ustalenie w kraju porządku opartego na miłości chrześcijańskiej na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości, udzielając obywatelom należytą swobodę..." (z zeznań przed komisją śledczą Arch. Ak-Dawn.)

Konsekwentny, zupełnie jakby nowoczesny, światopogląd katolicki każe Trauguttowi domagać się etyki Chrystusa nietylko w życiu jednostek i praktyce społecznej, ale też w stosunkach międzynarodowych: „...prawdziwa wolność człowieka, równość wszystkich przed prawem, stosunki międzynarodowe, oparte na braterstwie i miłości chrześciańskiej muszą się wydawać mrzonkami, (dla rządu zaborczego sc. Austrii), a ci, którzy w nie wierzą ludźmi conajmniej słabego umysłu i godnymi politowania; my zaś—z pokorą i zupełną szczerością wyznajemy, że dla nas te mrzonki są głównem prawidłem i kardynalnem prawem tak w stosunkach jednostek jak i całych narodów między sobą". (Odezwa z dn. 18.III 1864 r. do ludów Europy). Prócz trzech dogmatów liberalnej, mającej naonczas kurs, frazeologii dostrzegamy tutaj ideał chrześciańskiej jedności narodów europejskich.

Przeglądając zawartość pism krótkotrwałego szofa Rządu Narodowego nie dziwimy się teraz autorytetowi moralnemu, jakim w pamiętne lata powstania kraj darzył zakonspirowane jedyne wówczas źródło mocy duchowej, płynącej z pism, rozkazów i listów Traugutta.

Pięknie kończy autor swą z polotem napisaną rzecz o Dyktatorze: Cynizmowi materialistycznej polityki, której dogmatem jest siła, rzuca w twarz — omal z pod swej szubienicy — Najwyższa Sprawiedliwość i Boskie Miłosierdzie!"

(ST. J.)

*

Krystyna Sariusz Zaleska. „Karol de Faucauld, apostoł Sahary. Księg. św. Wojciecha, Poznań 1937.

W opracowaniu polskich autorów: Adolfa Nowaczyńskiego. Jerzego Bandrowskiego, Cecylii Walewskiej, a ostatnio Krystyny Sariusz Zaleskiej, wydała księgarnia św. Wojciecha szereg życiorysów ludzi szlachetnych i cichych, których miłosierdziu przyświecała muza nieznanych bohaterów. Życie pełne trudów, przy wyrzeczeniu się wszelkich korzyści osobistych, upływało im zupełnie w innych warunkach niż się zaczęło, z dobrobytu w dziedzinie nędzy i ciemnoty, niekiedy w dzikich i niedostępnych obszarach globu, w pracy misyjnej wśród egzotycznych plemion, pod biegunem Północnym, w Azji, w Afryce.

Karol de Faucauld, arystokrata, światowiec, duch niespokojny, wyjechał w poszukiwaniu wrażeń do Afryki, zwiedził Marokko i Algier, posuwał się w głąb Afryki coraz dalej, pod zmienionem nazwiskiem, w przebraniu, narażając się na tysiące niebezpieczeństw. Notowane przez niego skrzętnie naukowe spostrzeżenia utorowały rządowi francuskiemu drogę podboju o charakterze politycznym, wojskowym i handlowym. Jednak de Faucauld nie zadawalał się zaszczytami, zapragnął pracować dla fanatycznych i okrutnych

plemion Afryki, krzewić wśród nich etykę i kulturę. Wraca, poświęca się rozpowszechnianiu ideałów chrześcijańskich, jako sługa klasztorny, zakonnik, ksiądz i wreszcie zamordowany przez dzikich, ginie na tej placówce służby Bożej.

Autorka z talentem literackim i znajomością rzeczy przedstawiła, tak w młodości skłonność do awanturniczych przygód, jak i w dojrzalszym wieku rozwój uczuć humanitarnych, księdza Karola.

Książka obfituje w motywy ciekawe i wzruszające.

(A. W.)

*

W zakresie piśmiennictwa śląskiego ukazała się świeżo ciekawa publikacja, wydana nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach. Jest to szósty tom serii „Śląsk, Ziemia i Ludzie“ p. t. „Roboty publiczne w województwie śląskiem.

Przedstawia ona w zwięzły i przystępny sposób najważniejsze roboty publiczne, wykonane w okresie władania rządów polskich w woj. śląskiem. Działy komunikacji, budownictwa i urbanistyki, opracowane przez dr. inż St. Kaufmana, obejmują wszystkie ciekawsze wiadomości o budowie kolei, dróg i mostów, o inwestycjach w zakresie gmachów publicznych, szkół, domów mieszkalnych i urządzeń sportowych, wreszcie przedstawiają wykonane i zamierzone prace z dziedziny planów regionalnych.

Dział wodny, opracowany przez inż. R. Maryniarczyka, zawiera ważniejsze wiadomości z zakresu regulacji rzek, budowy wodociągów i urządzeń kanalizacyjnych. Liczne ilustracje obrazują ciekawsze obiekty i urządzenia stworzone na Śląsku za czasów polskich. Przystępna cena 1.50 zł. umożliwia nabycie tego wydawnictwa nawet osobom rozporządzającym skromnymi środkami materialnemi.

*

Pierwsza polska podróż naokoło świata, jaką odbył w 1935 r. statek szkolny naszej marynarki handlowej, „Dar Pomorza“, zaznaczyła się dość wydatnie w polskiej beletrystyce morskiej. Książki Kulleschütza i Meisnera ujęły tę podróż w formie barwnych wspomnień i niemniej barwnych opisów.

Obecnie ukazała się nowa książka; jest nią „Przez trzy oceany“ Stanisława Koski. Autor, zawodowy oficer marynarki handlowej. który się poświęcił pracy pedagogicznej w szkole morskiej w Gdyni, ujął pierwszą polską wyprawę światową z innego punktu widzenia, aniżeli Kulleschütz i Meisner. Ci dawali opisy, oddając przytem swoje własne nastroje, a on podaje opis, związany wyłącznie z życiem statku szkolnego. „Przez trzy oceany“ jest więc właściwie dziennikiem okrętowym. Podróż „Daru Pomorza“ przedstawia Kosko spokojnie i rzeczowo, traktując wyprawę naokoło świata, jako zwykłą normalną podróż ćwiczebną, którą musi odbyć (i odbywa) każdy przeciętny uczeń większej szkoły morskiej. Styl autora jest jasny, język bardzo poprawny, unika przytem przeładowania książki tak modną, a niestety nieustaloną jeszcze dotychczas terminologię morską.

Wydanie Ligi Morskiej i Kolonialnej, jak zwykle, staranne i estetyczne. Książka zasługuje na rozpowszechnienie przedewszystkiem wśród naszych maturzystów, którzy chcą się poświęcić zawodowi marynarza. (W. H.)

FILM

CAPITOL: „Ordynat Michorowski”, reż. K. Szaro.

Pisałem o tem niedawno, że filmowa przeróbka klasycznego banału, „Trędowatej”, wypadła wcale nieźle. Natomiast arcydzieła literatury, np. utwory Żeromskiego, z reguły niemal zawsze w filmowej transpozycji tracą. Przyczyn podobnego zjawiska nie trudno się doszukać. Przy filmowaniu rasowego tworu pisarskiego, jeśli już się zdarzy inteligentny reżyser i nie zagubi subtelnego rysunku postaci, to w każdym razie musi zrzec się walorów literackich języka powieści, nie ze swej winy oczywiście, tylko z powodu zmiany tworzywa. Natomiast utrata stylu literackiego Mniszkówny dla sfilmowanej „Trędowatej” była czystym zyskiem. Pozostaje banalna fabuła. Ale czyż fabuła większości filmów nie jest zazwyczaj banalna? (Inna rzecz, że na takiej kanwie dobry reżyser potrafi zawsze wyhaftować interesujący obraz).

Reżyser Sza(pi)ro dokonał cudu i filmując „Ordynata” z pietyzmem, nie uronił nic ze stylu *à la* Mniszkówna. Banałowi języka powieści odpowiada całkowicie banał reżyserii i dialogów. Aktorzy grają jak w melodramacie, co również jest zasługą reżysera. „Nieszczęsny! — krzyknęła hrabina i padła zemdlona bez życia”—oto rodzaj powiedzenia, który bardzo dobrze wam odmaluje styl tego utworu filmowego. Nie brak tu oczywiście i pojedynku w lesie, z panami w cylindrach, jest i młodzieniec wyciągający rewolwer z szuflady biurka (zawsze z szuflady!) aby popełnić samobójstwo.

Czy mam pisać dalej?...

ROMA: „Tajemnica starego zamku”, film niemiecki.

Film ten dziwnie mi przypomina nasze dawne, krajowe wyroby ze Smosarską, jako dziewczęciem z polskiego dworku. Dworek tym razem jest zamkiem, a papa-szlagon księciem w tużurku *à la* Hindenburg. Hrabia i wierny sługa niewiele się zmienili i pozatem wszystko odbywa się tak samo. Nawet bohaterka z wyglądu przypomina panią Smosarską z przed kilkunastu laty. Tylko kozacy nikogo nie gwałcą.

ATLANTIC: „Penny”, film amerykański.

Zręczna i miła komedyjka, jako program b. odpowiednia dla młodych panienek. Montaż bardzo sprawny, tempo wartkie, pomysłów i scen zabawnych sporo. Wszystko razem zanadto jednak przypomina teatr i z niego się wywodzi, tak iż wartości filmowych tu nie znajdziemy, jak również operowania językiem jedynie dla filmu właściwym.

Treść jest pogodna, tendencje moralne wcale przyjemne, rodzaj humoru taktowny, dyskretny i smaczny, na co specjalnie zwracamy uwagę autorów naszych krajowych komedyj filmowych.

Wstawki śpiewane za długie, wstawka taneczna za krótka.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Rozwadowski Jan. Prawda życia. Warsz. 1937. Instytut Literacki. Str. 122 i 133.

Baden-Powell of Gilwell lord. Moje przygody i przeżycia. Lwów 1937. Tow. Szkoły Lud. Str. 207.

Rybarski Roman. Program gospodarczy. Warszawa 1937. Skład gł. w admin. „Myśli Narodowej“. Str. 151. Cena zł. 4.—.

Rocznik Kasprowiczowski. Poznań 1936. Nakładem Zarządu Miejskiego w Poznaniu. Str. 266. Z ilustr.

Okęcki Stanisław. Ochrona czci osobistej w Polsce. Warsz. 1936. Str. 23.

Życzyński Henryk. Norwida Zwolon. Lublin 1937. Str. 14.

Przestroga hiszpańska. Pouczenie dla diecezjan przez J. E. ks. kardynała Prymasa Hiszpanii dr. Izydora Goma Tomas. arch. Toleda 1937. Str. 24.

Strzałkowski Wiesław. Wyjazd na połów. (Poezje). Warsz. 1937. Inst. „Bibl. Polska“.

Bułhak Jan. Dom. Wilno 1937. Skład gł. w księg. św. Wojciecha. Str. 93.

Szober Stanisław. Słownik ortoepiczny. Warsz. 1937. Wyd. M. Arcta. Str. 96 i (osobno) 16.

Orzeszkowa Eliza. Listy. Tom I: Dwugłosy. Pod kierunkiem prof. J. Ujejskiego oprac. L. Br. Świderski. Warsz.-Grodno 1937. Tow. E. Orzeszkowej i Inst. wyd. „Bibl. Polska“ Z portr. S. IX i 526.

Goszczyński Seweryn. Listy (1823—1876). Zebrał i do druku przygotował Stan. Pigoń. Kraków 1937. Polska Akad. Um. S. VII i 542.

Carey Basil. Kapitan Krystyna. Powieść. Warsz. 1937. Michalak i Sp.

Stojanowski Karol dr. Chłop a państwo narodowe. Poznań 1937. Wyd. Narodowe. S. 81.

Tow. Wydawn. „Rój” w Warszawie wydało:

Samozwaniec Magdalena. Maleńkie karo karmiła mi żona. Powieść.

Bernanos Georges. Pamiętnik wiejskiego proboszcza. Przełożył W. Rogowicz. Powieść.

Mostowicz Tadeusz Dołęga. Znachor. Powieść.

Wrzos Konrad. Yerba Mate.

Kudliński Tadeusz. Rumieńce wolności. Powieść.

Pruszyński Xawery. Podróż po Polsce.

POKŁOSIE

POKÓJ „KONSTRUKTYWNY"

PRZED niedawnym czasem całą prasę polską obiegł artykuł londyńskiego „*Observer*'a", w którym redaktor tego wpływowego tygodnika J. L. Garvin podał plan „pokoju konstruktywnego", polegający na dopuszczeniu ekspansji Niemiec w Europie wschodniej i nad Dunajem. Zwrócenie uwagi na te projekty było tym słuszniejsze. że autor ich, aczkolwiek nie zajmuje oficjalnego stanowiska, niejednokrotnie wyrażał poglądy rządu angielskiego, a wiadomo jest, że był chętnie słuchanym doradcą zmarłego obecnie Austena Chamberlaina, gdy ten kierował polityką zagraniczną Wielkiej Brytanii.

P. Garvin w ostatnim, przedświątecznym numerze swego pisma rozwija swe plany dalej i wiele przemawia za tym, że jest to przygotowanie opinii angielskiej do urzędowych już kroków w tym kierunku; opinia ta, jak się zresztą zdaje, nie potrzebowałaby zbyt wielkiego urabiania aby te plany przyjąć. Warto tedy zanotować tu kontury tych planów.

W pierwszym artykule p. Garvin przypomniał powiedzenie Palatzky'ego o tem, że gdyby Austrii nie było, to powinno się ją stworzyć i podkreślił błąd Sprzymierzonych, którzy po zwycięstwie, zamiast przekształcić i rozszerzyć ową Austrię w zrozumieniu Palatzky'ego na nowe Stany Zjednoczone Europy, sfederowane na wzór szwajcarski, — zniszczyli ją poprostu. Mimo, iż Niemcy dzisiejsze stoją w ordynku bojowym naprzeciw sowietów, jednak autor jest przekonany, że właściwym marzeniem Hitlera nie jest bynajmniej podbój Rosji sowieckiej, lecz stworzenie „Mittel-Europy", połączonej pod przewodnictwem Niemiec. Do tego konieczne jest ze strony niemieckiej rozróżnienie między totalitaryzmem, jako systemem na użytek domowy, a federalizmem, który ma być podstawą Europy Środkowej. Ten federalizm ma gwarantować poszczególne suwerenności i obywatelskie i religijne swobody państw, zrzeszonych z Niemcami. Taki twór federalny obejmie co najmniej 150 milionów ludności, wraz z odpowiednimi zasobami rolnymi i przemysłowymi i będzie mógł utrzymać się we wszystkich okolicznościach, i usunie główną obawę Hitlera co do przyszłości w obliczu potęgi sowietów.

Bo przecież, jeżeli imperium sowieckie utrzyma się i będzie rosnąć jak obecnie, — czytamy w drugim z kolei artykule — to jego olbrzymie wymiary i zbrojenia zgniotą sąsiadów, jeżeli ci zostaną rozdzieleni. Interesy cywilizacji zachodniej będą za parę lat wymagały wału ochronnego i przeciwwagi nie przeciwko Niemcom, lecz przeciwko czerwonemu caratowi, rozciągającemu się od Bałtyku do oceanu Spokojnego. Taki wał może być utworzony tylko przez rekonstrukcję i sfederalizowanie Europy Środkowej pod kierunkiem Niemiec. Zamiast sprzeciwiać się temu, lub marzyć o wojnie z Niemcami powinniśmy (my Anglicy) popierać i współdziałać z takim planem".

„Dążyć do utrzymania rasy niemieckiej z jej rozsadzającą granicę witalnością na ciaśniejszym niż inne obszarze, współdziałać z zablokowaniem tej rasy naokoło, od strony lądu i morza, nie pozostawić jej innego wyboru, jak tylko wywalczenie sobie z bronią w ręku większej przestrzeni — to byłoby z każdego zdrowego brytyjskiego punktu widzenia zarówno błędem, jak i zbrodnią. Ani my, ani żadne inne mocarstwo nie możemy zostawić Hitlerowi wolnej ręki na wschodzie do nieograniczonych arbitralnych celów. Lecz taksamo nie powinniśmy łączyć się z próbami wiązania mu rąk i nóg w obszarach, gdzie wielkie zmiany mogą być dokonane przez federacyjną reorganizację pod niemieckim przodownictwem".

Publicysta angielski nie ogranicza się jednak tylko do skierowania ekspansji niemieckiej na wschód. Czuje widocznie, że pominięcie sprawy odebrania Niemcom przez Anglię kolonii byłoby nie na miejscu, więc wypowiada z zastrzeżeniami zdanie, że Anglia powinna tu coś ustąpić:

„Wykluczenie tylko samych Niemiec na zawsze i wszędzie w sferze kolonialnej — nie da się utrzymać, jeżeli rozumny pokój jest naszym istotnym celem. Co obecnie Dominia dzierżą pod skoordynowaną suwerennością, tego kraj macierzysty nie może nakazać im zwrócić, nie może gdyby chciał, a nie chciałby gdyby mógł. Każde niemieckie żądanie w tym kierunku nie będzie funta kłaków warte... Jako wkład do pewnej i całkowitej ugody anglo-niemieckiej i tylko pod tym warunkiem, możemy natomiast zwrócić Kamerun, Togo i Tanganajkę. To co proponujemy, jakkolwiek ograniczone, usunie ostre podrażnienie między dwoma narodami i będzie istotną zdobyczą Niemiec w niektórych gałęziach gospodarstwa. Paryż wart był mszy dla Henryka IV. Pokój wart jest drobnych ustępstw kolonialnych".

Taki jest plan „konstruktywnego pokoju" oparty na oddaniu Niemcom ludów Europy Środkowej i wschodniej, oraz zwróceniu im drobnej części zabranych kolonii, których Anglia i tak ma, według tego samego autora, za dużo. Konstrukcje z cudzych materiałów idą jak widać łatwo, ale czy rzeczywiście mogą być „konstruktywne?".

ARGUS

NA MARGINESIE

Dwaj poeci rozmawiają o swoich wizjach średniowiecza, którę istotnie dziwnie się zbliżyło do naszych czasów.

— Dla mnie—powiada jeden z nich—czas nie istnieje: pięćset, trzysta lat—to tylko chwilka.

— Dla mnie to samo — mówi drugi.—Ale może byś mi pożyczył na chwilkę dwa złote?...

— Za chwilkę...

Błędy druku:

W nr. 13 w art. „R. Descartes" str. 198 szp. 1 w. 13 od góry ma być „jako" (a nie „jakoby"); w szp. 2 w. 3 zamiast „następne" winno być „najlepsze". W 5 odsyłaczu zamiast „mitologiczny" powinno być „ontologiczny".

W nr. 12 w art. o „Ruchu Liter." w wierszu 2 źle złożono nazwisko dr. K. Mężyńskiego.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.